ROK III. Nr. 8 (108). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem 22 lutego 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE





MARYSIA MODZELEWSKA W ROLI KATARZYNY. (fot. Brzozowski).





Jego Królewska Mość Karnawał LIII

Tradycyjnym zwyczajem uroczyście odbywa się na Rivierze obchód karnawału. Pochody, maski, confetti, intrygi — a nadewszystko śmiech, śmiech beztroski i radosny, okraszający tę wesołą zabawę. Ciężki kryzys, który i we Francji daje się we znaki, nie wpłynął na zmniejszenie się frekwencji publiczności, któraby poczytywała sobie za dotkliwą krzywdę osłabienie blasku majestatu Jego Królewskiej Mości. Pod tym względem—zamachu stanu na Rivierze nie będzie!



Na planszy widzimy fragmenty z pochodu karnawałowego w Nicei.

W środku grupa dzieci z kostjumowego balu dla dzieci.





MOJA SZAFA

W rogu naszego małego pokoju redakcyjnego mieści się potężnych rozmiarów szafa. Jest ona najcenniejszym skarbem i oczkiem w głowie wszystkich członków redakcji. Nie sądźcie, że to jakiś drogocenny antyk, czy też może kasa ogniotrwała, zawierająca w swem wnętrzu stalowe serce, wypełnione dolarami. Wprost przeciwnie... Zwykła szafa biurowa, podzielona na 72 przegródki — schowki. Schowki te mają dla nas nieocenione znaczenie. Mieszczą się w nich bezpłatne bilety jazdy na codzienne podróże dookoła świata... Nie jeden z czytelników posądzi mnie o jakiś nieprzystojny stan, w którym zacząłem pisać ten artykuł. Myli się jednak bardzo. Tajemnicą naszych biletów na gapę, są tysiące i tysiące fotografij nadsyłanych codziennie ze wszystkich stron świata.

Nie ruszając się z wygodnego fotela, wyciągam ręką po pierwszą lepszą przegródkę, wyciągam ją i za chwilę piętrzy się na mojem biurku stos błyszczących odbitek fotograficznych. Zanurzam się w nie po uszy i zapominam o bożym świecie.

Ginie mi z przed oczu biurko, pokój, otaczający mnie koledzy i znajduje się nagle gdzieś w innym kraju, w obcem mieście, pośród nowych twarzy, wobec nieznanych dziwów. Słyszę wokoło gwar niezrozumiałych rozmów, śledzę z uwagą rozgrywające się wypadki, zdarzenia, katastrofy, uroczystości. Jestem obecny na najdziwaczniejszych konkursach amerykańskich, biorę udział w wyprawach myśliwskich, czy odkrywczych, upajam się słodkiemi dźwiękami ukulele na Tahiti, wznoszę groźne okrzyki, wraz z tłumem gandhystów, przeciwko Anglji, zrywam daktyle z pięknookiemi córami Arabji, wysadzam w Rodezji skały, szukając wraz z murzynami djamentów, podróżuję luksusowym yachtem z jakimś królem golfa lub też, dla odmiany, wyleguję się na wiecznie słonecznych plażach Kalifornji. Czasami jestem wielkim wynalazcą maszyny do obliczania ilości ciałek krwi w organiźmie lub też buduję nowe ikso-piętrowe buildingi. Jestem obecny wszędzie. Z szybkością iskry elektrycznej przerzucam się z jednej części świata do drugiej, wszędzie uczestniczę w najważniejszych sprawach... Trzymam rękę na pulsie świata, który, dygoce gorączką pracy, zainteresowań, pragnień, przestępstw, cnoty i... ekscentryczności. A zawdzięczam to swym fotografjom. Przemawiają one do mnie zrozumiałym dla mnie językiem kipiącego, zwycięskiego życia.

I zawsze, gdy patrzę na moje obrazki, wyrasta przedemną legjon milczących ludzi, których twarze posiadają jedno ciemne cyklopie oko aparatu fotograficznego. Oko wszędobylskie, wszystkowidzące, notujące skrzętnie na szklanych stronicach klisz historję chwili. Właściciele czarodziejskiego oka, są tymi genjuszami, którzy rozwalają ściany mego pokoju redakcyjnego i roztaczają bezkresne horyzonty całego świata.

Nie szczędzą trudu i wysiłku, narażają życie lub zdrowie, skazują się na głód, chłód lub poniewierkę po to, by ktoś, gdzieś, o którym nigdy nie będą wiedzieli, mógł przeżyć z nimi wspólnie fragment dalekiego życia.

Istnieje również w mej szafie jedna przegródka, do której słońce rzadko zagląda. Ciemno w niej, głucho, pusto. Wyciągam ją i wnet ściany mego pokoju redakcyjnego zaczynają się ku mnie zbliżać. Po chwili oglądam się z trwogą i widzę, żem się znalazł w małej komorze, z maleńkiem okienkiem u sufitu. Przed mojemi oczami przesuwają się nieskończone procesje osób z wieńcami, ciągnące w stronę grobu Nieznanego Żołnierza, zjeżdżają niezliczone pociągi na dworzec główny w Warszawie, z których wysiadają poważni dyplomaci, dziennikarze i po kilkaset razy ci sami ministrowie, w olbrzymich salach prezydjalnych i posiedzeniowych za długiemi stołami siedzą ci sami ludzie, prezydent stołecznego miasta Warszawy wmurowuje setki aktów erekcyjnych, minister komunikacji cały swój czas urzędowy poświęca na przecinanie wstęg nożycami.





Ciężko ranny fotograf wykonał cały szereg zdjęć podczas rewolucji w Wiedniu.

Po chwili zaczyna się wszystko od początku. Nastrój pełen melancholji, nudy, powagi, przeżuwania... Są to zdjęcia nasze, krajowe, rodzime... Cyklopie oko naszego fotografa prasowego zamienia się w oko bazyliszka, usiłującego z uporem storturować biednego dziennikarza. Chińska tortura, kropla po kropli, jednostajnie, monotonnie, to samo.

Nie obraźcie się, panowie fotografowie prasowi. Jest to jednak smutną prawdą, której należy wreszcie spojrzeć w oczy. Wpadliście w jakąś piekielną rutynę, jakiś schemat, poza ramy którego nie chcecie wykroczyć. Spójrzcie na pracę waszych kolegów zagranicznych. Przejrzyjcie zdjęcia, które nam nadsyłają. Jest to prawdziwa kopalnia rozmaitości. Każde z tych zdjęć to akord życia wygrany w różnych tonacjach. Wszystko tam mówi, krzyczy, mieni się, pełno ruchu, kinetyki, rozmachu.

Czyż naprawdę nic się u nas nie dzieje poza przyjęciami na dworcu i Grobem Nieznanego Żołnierza? Czyż jesteśmy jakimś partykularzem świata,z którego nic dla siebie ciekawego i nowego nie potrafimy wygrać?

Nie dziwcie się więc, że w naszych pismach przeważają zdjęcia zagraniczne. Nie sarkajcie gdy wam odrzucamy, według waszego mniemania, epokowe zdjęcia. Podejdźcie do życia od strony najciekawszej, zajmijcie się nawet błachostkami i drobiazgami, zdecydujcie się na pewne niewielkie minimum własnej niewygody, a zobaczycie, że stoi przed wami cała kopalnia tematów niewyzyskanych, a które chętnie i z radością przyjmiemy na łamy naszych pism. *z. g.*



Mundur współczesnego fotografa prasowego



Przy zdjęciu wybuchu w fabryce zginął fotograf Hans Kurten.

Urbi et orbi...



Ojciec Święty Pius XI.

Namiestnik Chrystusowy przed mikrofonem! Oto wieść przedziwna, która zelektryzowała nietylko katolików, ale i świat cały.

W związku z dziesięcioletnią rocznicą koronacyjną Jego Świątobliwości odbył się w „Citta del Vaticano" cały szereg podniosłych uroczystości. Między innemi na kilka dni przed otwarciem Radjostacji Watykańskiej, dnia 6-go lutego, dokonał Ojciec Św. poświęcenia nowej elektrowni, przyczem po odsłonięciu tablicy pamiątkowej wygłosił przemówienie, w którem, zastanawiając się nad cichą nieruchomością maszyn elektrowni i radjostacji, porównał je z tak licznemi pod pięknem niebem Italji pomnikami konnych rycerzy, których nieruchomość budzi jednak w każdym wrażenie życia i ruchu. We wszystkich tych nowych urządzeniach — w elektrowni, stacji telefonicznej, oraz w radjostacji — ujawniają się, według zdania Jego Świątobliwości, coraz potężniejsze środki porozumiewania się ludzi, które będą oddane na służbę Prawdzie i Miłosierdziu.

Słowa te radosnem echem odbiły się w sercach wszystkich radjosłuchaczów świata, a przedewszystkiem w łonie Polskiej Rodziny Radjowej, tembardziej, że transmisja uroczystości watykańskich zbiegła się z pierwszemi próbami najpotężniejszej radjostacji świata, „Olbrzyma Raszyńskiego".

Niestety! Tę chwilę, w której po raz pierwszy w dziejach z wyżyn Stolicy św. Piotra **Urbi et Orbi** spłynęło na falach radjowych błogosławieństwo apostolskie dla wszystkich ludzi — w której Ojciec Święty, własnoręcznie uruchamiając Radjostację Watykańską i wygłaszając swe Orędzie przed mikrofonem, uświęcił tem samem wszystkie zbożne poczynania radjowe — tę podwójnie dla nas radosną chwilę zamącił fakt, że transmisja z Watykanu nie wypadła tak, jakbyśmy wszyscy tego pragnęli. Jakieś niesamowite trzaski i szmery zniekształcały ją raz po raz do tego stopnia, że niejeden z rozżalonych radjosłuchaczów podejrzewał, iż musi w tem tkwić ręka czerwonej radjofonji sowieckiej, która, przystosowując swe fale do długości fali watykańskiej, próbuje zagłuszyć natchnione Orędzie Papieskie.

Rzecz się jednak przedstawiała inaczej. Zawiniły tu kable telefoniczne.

Czy jednak te, niezależne od naszej radjofonji, okoliczności umniejszyły w czemkolwiek istotną doniosłość faktu, że Namiestnik Chrystusowy przemawiał przed mikrofonem i **Urbi et Orbi** przesłał na falach eteru swe błogosławieństwo apostolskie? Druty telefoniczne, kable i odbiorniki — to dzieła rąk ludzkich, podlegające zniszczeniu i uszkodzeniu. Lecz czyż przez to, że było w naszym kraju gorzej lub lepiej słyszane, błogosławieństwo Ojca Św. utraciło coś ze swej mocy duchowej?

Nie — i nic też nie powinno zamącać radości polskich radjosłuchaczów, że oto dziesięć dni temu Namiestnik Chrystusowy uświęcił dzieło radjofonji, wciągając je w służbę Prawdy i Miłosierdzia.

Wzniosła to służba — i każdy człowiek dobrej woli przyznać musi, że radjofonja nasza pełni ją wytrwale i z największem poświęceniem.

Przedewszystkiem — jest ono jednym z instrumentów „Pokoju na ziemi", o którym wspominał Ojciec Św. w swem Orędziu. Nigdy nie dzieli, lecz zawsze łączy.

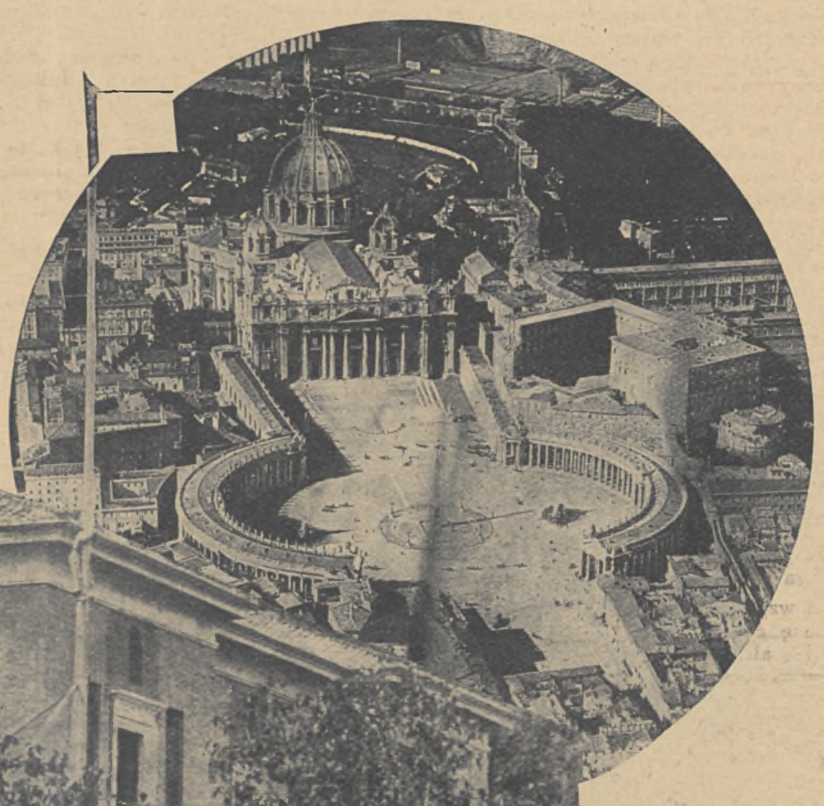
Przez zainicjowaną przez Polskę międzynarodową wymianę programów ułatwia narodom wzajemne zbliżenie się i poznanie. Przedewszystkiem jednak łączy członków rodziny, skupiając ich przy odbiorniku. Niejeden mąż lub ojciec, który przedtem wymykał się do szynku lub na karty, tracąc na wódkę lub grę ciężko zarobione pieniądze, spędza dziś wieczory przy otwartym głośniku radjowym. W niejednej też izdebce robotniczej dzięki radju dzieci są syte i schludnie odziane.

Nie obca jest radju „Służba Miłosierdzia". Jakże często bywa wielką pociechą samotnego chorego, kaleki lub niedołężnego starca, których łączy nanowo ze światem i godzi z z ciężkim losem.

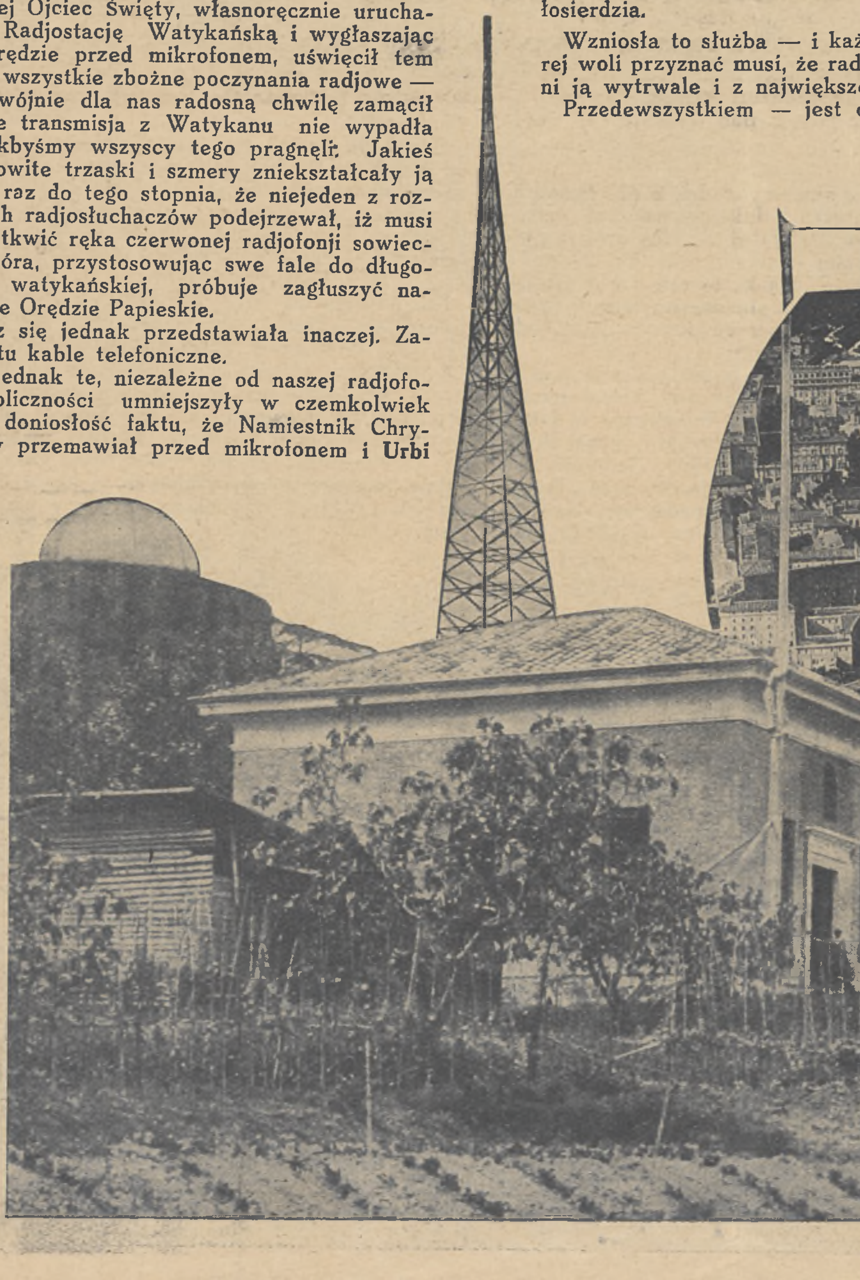
A transmisje nabożeństw i uroczystości kościelnych? Zastanówmy się tylko, jaka radość przedziwna ogarnia duszę wychodźtwa polskiego, kiedy polskie fale radjowe przynoszą im pociechę duchową, której inaczej byliby może zupełnie pozbawieni. „Jedna jest Polska Ojczyzna i jedno Polskie Radjo, które nadaje nabożeństwa w każde święto" — pisał niedawno do Polskiego Radja sztygar polski, którego los do Holandji zapędził. „Z rozczuleniem słucham razem ze starą matką słów w rodzimym języku— pisze wygnaniec aż z pod Uralu — nie możemy jednak słuchać nabożeństw, bo przeszkadza radjo moskiewskie..."

Głos Jego Świątobliwości Piusa XI, uświęcając eter międzynarodowy błogosławieństwem apostolskiem, uświęca również, choć nieoficjalnie, zbożne dzieło radjowe Polaków.

Jan P.



Watykan.



Radjostacja w „Citta del Vaticano".

JAN IGNACY TARG.

MAXIM

Ktokolwiek wojnę przeżył, a nie tylko słyszał z ust zazwyczaj wiarygodnych, choć nie zawsze ścisłych, temu nie obcy jest zarówno tytuł niniejszego feljetonu, jak i trzy małe literki, w takiej ujęte poetyckiej transkrypcji:

Schowany w kępach trawy i gęstwinie łozin
C. k. m. kul igłami powietrze zamroził,
Grają żelazne flety wściekłego oberka,
Jakby rój szarych wróbli w leszczynie zaćwierkał.

Słusznie uznały czynniki wojskowe ciężki karabin maszynowy za najgroźniejszą i najbardziej morderczą broń współczesnej piechoty. I niema dzisiaj walki bez udziału karabinów maszynowych. Ktoś trafnie powiedział, że jeśli piechota jest królową broni, to karabin maszynowy tej królowej koroną.

I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno „cekaem" był tylko w projektach długo nierealizowanych. Dopiero inż. Maxim skonstruował automaty, oddające kilkaset strzałów na minutę.

Przebieg życia tego wynalazcy obfituje w wiele ciekawych szczegółów.

Hiram Maxim urodził się w małem miasteczku, tuż u granicy Kanady, zdradzając już od wczesnej młodości swe techniczne uzdolnienia. Pragnienie zostania marynarzem, ze względu na upór ojca, nie może być spełnione. Zostaje oddany do terminu u rzemieślnika, gdzie w wolnych chwilach od zajęć zapoznaje się z umiłowanemi przez się wiadomościami technicznemi. Na przeszkadzające mu w pracy myszy konstruuje automatyczną pułapkę, co przynosi mu nieznaczny dochód. Zdobywszy nieco grosza, wybiera się w podróż po kraju. Wyczerpany zapas gotówki zniewala go do najrozmaitszych zajęć. Jest pomywaczem, kelnerem, tkaczem, bokserem, a kiedy postanawia pięścią i knouckoutem zarabiać na życie, trener, wyśmiawszy jego nieproporcjonalnie dużą głowę, zalecił mu obrać sobie bardziej odpowiedni zawód.

Wałęsając się z dnia na dzień, pracuje, gdzie się da i przy czem się da, pogłębia jednocześnie swą wiedzę techniczną, by wreszcie dokonać pierwszych wynalazków.

Automat gazowy, gaśnik, pompa parowa — oto pierwsze, a jakże udane próby. Przerzuca się w dziedzinę elektryczności i tu, dokonując wielu ulepszeń, postanawia poświęcić się konstrukcji broni palnej. I jako twórca karabinu maszynowego typu Maxim, zdolnego oddać sześćset strzałów na minutę, staje się sławny, szukając jednocześnie dla swego wynalazku rynków zbytu.

Początkowo do karabinu maszynowego ministerstwa wojny odnoszą się z pewnem uprzedzeniem, ale jakże na krótko.

Sam Maxim urządza „exodus" po świecie, w towarzystwie dziecięcia swego, „śmiercionośnej maszynki". Tu i ówdzie spotyka się ze sceptycznemi uwagami, ze względu na drożyznę ładunków. Książę chiński w rozmowie powiedział: „Dla Chin świetna broń, strzela nieco za szybko", co ówczesny król duński ujął bardziej prosto: „Moje małe królestwo taki k. m. może w przeciągu trzech godzin doprowadzić do bankructwa".

Ten wzgląd nie zraża innych, którzy za wszelką cenę chcą się uzbroić, przeciw nieznanemu jeszcze, ale przecież wpierw czy później niewątpliwemu wrogowi.

Tak to rozumiejąc, Maxim zaprezentował swą broń w Wiedniu.

Na pokazie jest sam cesarz, Franciszek Józef, podziwiając, jak człowiek średniego wzrostu, ukląknąwszy przed karabinem maszynowym, sam, bez pomocy, wprawia maszynkę w ruch, nadając jej tempo, niczem „cykanie" zegarka. A gdy zdumieni, a jednocześnie niedowierzający „k. und k." oficerowie poddają pod wątpliwość celność strzałów, Maxim z uśmiechem na ustach, wybija kulami inicjały cesarskie „F. J.". To decyduje o powodzeniu.

W dalszym ciągu swych wędrówek po Europie Maxim dociera do Petersburga. Tu, po udanej próbie spotyka go przygoda, możliwa tylko w Rosji. Zostaje wezwany do komisarjatu policji, gdzie, po ustaleniu nazwiska i pochodzenia, zapytano, czy jest żydem?

— Nie. — odpowiedział Maxim.

— Jaką więc religję pan wyznaje? — padło drugie pytanie.

— Żadnej.

— Tak mówią wszyscy żydzi, a dla żydów w Rosji miejsca niema. Jak się nazywał pański ojciec? — indaguje dalej „carski czynownik".

— Izaak Maxim.

— A widzi pan! Izaak, to tak, jak i Hiram, żydowskie imię. A jak się nazywał pański dziadek? — pytał niezmordowanie.

— Samuel Maxim.

— Jeszcze jedno żydowskie imię!

— Ale skąd? Byłoby może żydowskie, gdyby się nazywał Maxim Samuel. Moi przodkowie byli purytanami i prawie wszyscy mieli żydowskie imiona, choć purytanie są szczególnie gorliwymi chrześcijanami. Zresztą nie interesuję się zupełnie religją.

Odpowiedzi te nie zadowoliły rosyjskiego policjanta, tem więcej, że bezwyznaniowcy nie mieli prawa przebywać w Rosji. Maxim, kładąc kres temu przesłuchaniu, oświadczył: „Zapisz mnie pan jako protestanta. Jestem protestantem wśród protestantów. Protestuję przeciw tej całej historji".

Donos ochrany nie spełnił swego zadania, gdyż w Rosji wkrótce przyjęły się karabiny maszynowe Maxima.

Zastosowanie ich w obecnym sposobie prowadzenia wojny jest ogromne. Zarówno w natarciu, jak i obronie, w odwrocie i pościgu, w pierwszej linji i na tyłach frontów, na ziemi i w powietrzu, w dzień czy w nocy, zawsze i niezmienne są pożyteczne, a często nawet niezastąpione.

EUSTACHY CZEKALSKI.

Zamknięte drzwi

Plaża w Ostii ma tylko tę zaletę, że znajduje się w godzinnem oddaleniu od rzymskiej Piazza di Venezia. Pozatem jest to sobie zwykłe włoskie kąpielisko ,rojne w dni zwykłe ,natłoczone w niedziele i święta. Lazur morza wabi nawet proletarjat rzymski: przyjeżdża tu pociągami kolejki elektrycznej i rozkłada się szeroko i krzykliwie na pobrzeżu. Znakomita, asfaltowa szosa wypełnia się masą samochodów; stoją one później zwartym szeregiem przed „Stabilimento di Bagni Publici" i oczekują na swoich właścicieli.

Rozkoszne, brylantowe słońce, igra sobie wesoło po morzu, po wątłej roślinności, po zamożnych willach rzymskich bogaczy. Miękkie fale łagodnie pieszczą piaszczysty brzeg. W rozgwar świątecznego poranka, rozśpiewanego muzyką gramofonów i katarynek, rozkrzyczanego italską radością życia, wpada rytmicznie, jak akompanjament, nawoływanie „Gelati, gelati!"

Miło jest pogrążyć się w tym niedzielnym szumie, oddać beztrosce wypoczynku, ułożyć na miękkiej, morskiej fali.

Antonio Usignolo, student filologji klasycznej, wielbiciel Ajschylosa i Katulla, w czarnych kąpielowych majtkach, zbudowany, jak młody bożek, wskoczył do wody, parsknął i popłynął równo, wprawnie, niemal konkursowo. Czarna, gęsta czupryna kładła się na fali, przechylając z boku na bok, zależnie którą ręką wygarniał skibę wody. Spostrzegł leżące dorodne, różowe, kobiece ciało, w obcisłym kąpielowym stroju, lekko poruszane miarowym rytmem miękkiej fali. Przed kwadransem przyjechał kolejką z dusznego, zakurzonego Rzymu, skandując Georgiki. Teraz okrążał, niby kot,, ponętny, pięknie powiązany kobiecy akt. Dostrzegł nad wierzchnią wargą lekki, ciemny puszek, a na policzku matowym delikatny rumieniec. Szarpnął mocniej ręką wodę, uderzył energiczniej kolanami, odepchnął stopami. Fala przypływu pchała go do brzegu. Z mózgu wyroiła się płomienna scena miłości „afrykańskiej kobiety Dydony", rozkochanej śmiertelnie w Eneaszu. Łacińskie słowa, gorące, zuchwałe, szalone, układały się na morskiej fali i podpływały pod różowe ciało kobiece, niedbale a kokieteryjnie trzymające się nawznak na wodzie.

Antonio już chciał zawrócić, by nakarmić znów oczy tą przedziwną wizją. Zgiełk, chlupanina, świąteczny tłok, nie powstrzymały go od wykonania zamiaru. Spostrzegł jednak, iż „jego Dydona" wraca również na ląd. Stał więc w słońcu wyczekujący, oczarowany, zasłuchany w łacińskie rytmy. Prowadził ją wzrokiem do plaży. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Tłok niedzielny był tak wielki, że natarczywość jego spojrzeń uszła bezkarnie.

„Dydona" zginęła w kabinie. Po długiej, nerwowej krzątaninie na plaży, ujrzał ją znów w pięknym, liljowym kąpielowym płaszczu, gumowych pantofach. Towarzyszył jej siwy, starawy jegomość, o spojrzeniu ostrem, kłującem. Poszli do kawiarni i przy butelce Vermuthu prowadzili jakiś wesoły djalog. Obserwował ich Antonio przez czas dłuższy, zmieniając miejsca, chłonąc dziwny, niespokojny czar, idący z postaci Dydony. Starawy, siwy, łysawy pan, o kłujących oczach, wydał mu się niesympatyczny, zły...

Jeszcze czas jakiś kołował przy plażowej kawiarni. Wrócił do Rzymu zdenerwowany, wytrącony z równowagi. Nocą, podczas snu, nawiedziła go mocarna wizja, kołysanej przez falę morską bujnej, rozrośniętej, różowo-ciałej kobiety.

* * *

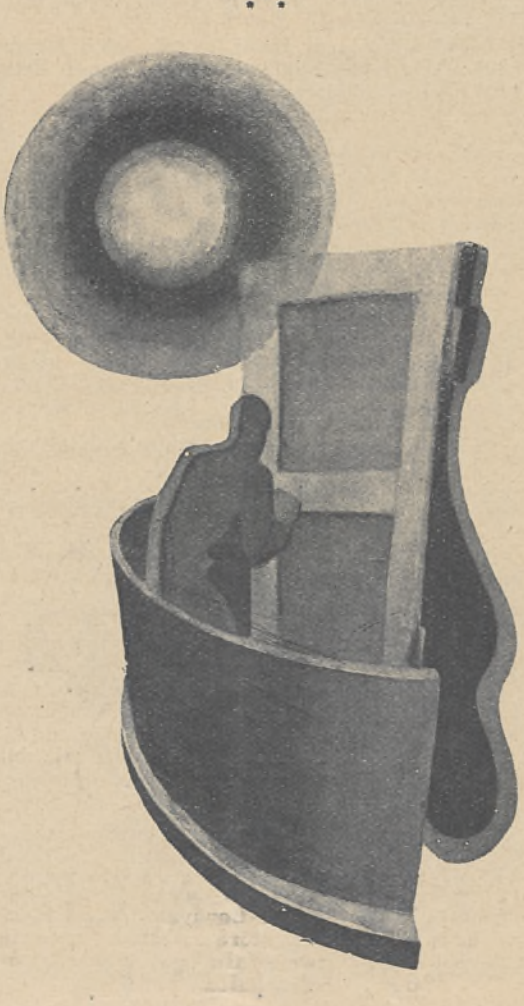
Nazajutrz przyjechał znów do Ostii. Nie mógł inaczej wytrzymać: zdenerwowanie miotało nim, utrzymywało w stanie dziwnego niepokoju. A może to młodość, kipiąca nadmiarem sił, burzyła równowagę jego psychiki? Dopiero nad morzem doznał lekkiej ulgi; czuł, że nerwy odprężyły się z niezwykłego napięcia. Popłynął znów raźno z falą w zawody. Znów kołysało się różowe, wypoczęte, wypielęgnowane ciało kobiece. Słońce igrało na nim brylantowemi promieniami, pieściło je, całowało. Okrążył kilkakrotnie „Dydonę"; próbował w jakikolwiek sposób zwrócić na siebie uwagę. Piękne, bujne ciało, zasłuchane w rytm fali, nie reagowało szczególnie na otoczenie. Popłynęło do plaży spokojnie, nieomal mechanicznie. Po pomoście, ociekając wodą, majestatycznie, bez pośpiechu, kierowało się do kabiny. Szedł za nią ślad w ślad Antonio, jak zahypnotyzowany.

Znów stał w słońcu zgrabny, dorodnie zbudowany, młodzieńczy, potrząsając bujną czupryną i mocując się z niewytłomaczonemi myślami. Czemuż gapi się na drzwi kabiny? Skąd zjawiła się w nim chęć poznania tej niewiasty? Dla czego odczuwa mus krążenia koło niej?

Rozciągnął się na plaży. Twarz wtulił w rozgrzany, ziarnisty, złotawo-srebrnawy piach, a z krtani wydostał mu się niezrozumiały dźwięk westchnienia, jęku, czy prośby. Podniósł natychmiast głowę. Oczy go niosły w stronę kabiny.

Wyszła z niej, strojna w ciemne jedwabie, rosła, bujna kobieta, osłaniając jaskrawą, czerwoną parasolką, matowo-różową twarz i czarny, mały, słomkowy kapelusz. Zginęła natychmiast za parkanem „Stabilimento di Bagni". Nie mógł przecież biec za nią, nie ubrany, jeszcze parujący wodą morską.

* * *



Wiele jeszcze dni, o określonej, rannej godzinie, zjawiał się z Rzymu do Ostji i rzucał w morze, zbiedzony, przybity niepokojem, niezrozumiałem zdenerwowaniem. Jakże cierpiał, gdy płynąc nie spostrzegł na morskiej fali dorodnego, kobiecego ciała! Wreszcie, po długiej mordędze, usłyszał głęboki, przenikliwy, matowy głos kobiecy:

— Jest pan nieostrożny! Jakże można tak daleko płynąć w morze...

Zawstydzony, jak uczniak, odrzekł prawie odruchowo:

— Przepraszam już więcej nie będę...

Na ustach kobiecych wykwitł uśmiech blady, prawie sympatyczny. Wzruszyła ją ta odpowiedź chłopięca.

— Niech pan wraca na ląd!... — dodała.

Posłusznie zarzucił rękę energicznym „crawlem" i skierował się w stronę plaży. Szybko wbiegł do swojej kabiny, prędko ubrał się i czekał na nią, na... Dydonę...

Spotkał ją świeżą, życzliwie uśmiechniętą, prawie po macierzyńsku. Zerwał kapelusz z głowy i wybełkotał:

— Nazywam się Antonio Usignolo!

W męczących swoich rozważaniach nigdyby nie wykombinował, że tak właśnie przedstawi się pięknej damie. Odpowiedziała mu prosto, z widoczną towarzyską kulturą:

— Jest mi bardzo przyjemnie poznać pana.

— Pozwoli pani, że pójdę z panią kilka kroków...

— Nawet kilkanaście. Idę i tak na spacer przed śniadaniem...

Ten spacer był dla niego radością i torturą. Igrała nim najwidoczniej, żartowała z jego wiadomości klasycznych, rzucała nieodparte, mądre sądy o literaturze, życiu, lekko, zajmująco, z miłym uśmiechem na soczystych, różowych ustach. Antonio pogrążył się w czarną rozpacz. Ratowały go tylko te życzliwe, ciepłe uśmiechy... Doznał ekstazy, gdy zaprosiła go kiedyś na śniadanie. Powierzała mu później różne obstalunki do załatwienia w Rzymie: uważał to dla siebie za szczyt zaufania. Nie wiedział, kim jest ona, nie przyszło mu do głowy, że można się zapytać, dowiedzieć. Wystarczyło mu, że może powiedzieć: Signora Marcelina. Z biciem serca odprowadzał ją teraz do wrót skromnego ogródka i czekał, czy płynnym ruchem ręki zaprosi go do willi, w której mieszkała.

Otoczenie Marceliny było bez zarzutu. W pokoju panował dobry smak. Nieliczne, lecz dobrane książki, świadczyły o wyrafinowanej kulturze tej pięknej, postawnej kobiety. Na małym, podręcznym stoliku, leżała piękna edycja „Boskiej komedji" z safjanową, wiśniową zakładką. Był już u niej wielokrotnie, a nie wiedział nazwiska. Znał tylko jej uśmiech cichy, daleki, snujący się ponad wierzchnią wargą, lekko przyciemnianą miękkim, ciemnym puszkiem. Uśmiech ten wabił go i dręczył czarodziejską, nieosiągalną wyższością. Stwarzał zawsze dystans, oddalał, trzymał w karbach. Antonio zdobył się jednak na wyznanie:

— Kocham panią i pragnę poślubić...

— Czy zarabia pan już na swoje utrzymanie? — zapytała naturalnie, rzeczowo.

Stropił się chłopczyna, stanął w pąsach. Powtórzył:

— Kocham panią i pragnę poślubić.

Uśmiechnęła się Marcelina. W duszy jej odezwała się jakaś ukryta, tajemnicza struna. Tak do niej nie przemawiał żaden mężczyzna. Choć uważała się wyższą nad „niewolę małżeńską", żywiła w tajnych zakamarkach serca słodkie pragnienie legalnego związku, usankcjonowanego przez kościół i prawo. Im więcej przybywało jej lat, tem częściej nasuwała się ta myśl stłumiona, lekceważona, odsuwana. O, bo

Marcelina mogłaby właściwie być matką tego zapalnego chłopca! Nie omieszkała mu tego powiedzieć. Powtarzał manjacko, uporczywie a gorąco:

— Kocham panią i pragnę poślubić!

Wolałaby słyszeć te słowa z ust jej wieloletniego przyjaciela, łysawego, siwawego ironisty, cynika. Pochwaliła się przed nim (i jakże mogło być inaczej?), że taką propozycję uczynił jej młody, śliczny chłopiec, pływający z nią na wywczasach w Ostji. Zbył to jakąś zabawną uwagą. Nie przypuszczał, iż chłopiec ten i w Rzymie będzie nadal wznawiał swoje propozycje.

* * *

Październikowe zimne wiatry coraz częściej zamykały rzymian w ich przewiewnych mieszkaniach. Marcelina weszła w swój stołeczny tryb życia. Rozpoczęła prace naukowe i literackie. Wieczorami uczęszczała do teatrów i kin. Odwiedzał ją Antonio, wciąż jeszcze rozkochany, oczarowany. Niekiedy brała go na przechadzki, odwiedzając rozkoszne fontanny, bawiąc się zwierzętami w ogrodzie zoologicznym Trzymała go jednak stale na dystansie towarzyskiej uprzejmości. Antonio gryzł się, szalał budował tysiączne projekty swojej niezależności majątkowej. Słuchała tych jego zwierzeń obojętnie, niekiedy wtrącała kilka krytycznych zdań. Odchodził od Marceliny unicestwiony, starty w proch, w nicość. O, jakże straszne są kobiety! Kłamie stary Wergili! Czemu nie spotkał prawdziwej... Dydony?

Mocował się z sobą, by pójść znów wieczorem do Marceliny. W południe był z nią na spacerze po Zatybrzu. Czy wypadało jeszcze raz ją odwiedzić tego samego dnia? Nie! Nie! A jednak nie mógł bez niej żyć, musiał usłyszeć jej głos niski, soczysty, pełno-brzmiący. Pobiegł na Corso Emanuele. Skręcił w bocznicę o zwykłych, czynszowych domach wielkomiejskich. Znał tu drogę. Mógłby trafić, zamknąwszy oczy. Na trzeciem piętrze, w oficynie, mieszkała stęskniona niewiasta. Gdy biegł przez podwórze, zadzierał wysoko głowę do góry. Wiedział, czy była w domu: przesączało się przecież światło elektryczne, nieomylny znak, że jest obecna. Wbiegł szybko na schody. Jakież było jego zdziwienie, gdy na dzwonek nikt nie podszedł do drzwi. Powtórzył alarm. Drzwi pozostały zamknięte. Czyżby się mylił? Widział światło w jej oknach? Odruchowo nachylił się: z przeciwnej strony tkwił klucz w zamku. A więc była i nie chciała otworzyć! O, męko piekielna! W krtani dusił krzyk, prośbę, błaganie. Z bezsilnej wściekłości zatrzęsły mu się nogi. Zbiegł znów na podwórze. Światło przyciemnione (znał je, zapewne z ampli z nad klubowego, wygodnego fotela), świeciło równo, matowo. Już chciał wybiedz na ulicę, gdy wpadł na pomysł szalony. Jeżeli wbiegnie na klatkę schodową przeciwległego, frontowego budynku, będzie mógł zobaczyć, sprawdzić, czy Marcelina jest w mieszkaniu. Plan urzeczywistnił natychmiast. Nie powstrzymał go żaden skrupuł. Była to przecież rzecz nieładna, podglądanie!

Przez okno schodowe czwartego piętra spojrzał do wnętrza mieszkania Marceliny. Widać je było, jak na dłoni. Po pokoju dreptał w bieliźnie starszy, łysawy pan, krzątała się w dezabilu piękna, poważna Marcelina. Długie ich cienie przesuwały się po ścianie, ginęły w wnęce pokoju. Krew uszła z serca Antonia. Zachwiał się na nogach. Obfite łzy napłynęły mu do oczu. Zaszlochał, jak dziecko:

— Czemuż ją tak kochałem?

Postanowił nigdy już nie ujrzeć więcej Marceliny.

* * *

W godzinę wrócił znów na przeklęte schody, pod zamknięte drzwi. Wziął z sobą browning. Nie zdawał sobie nawet sprawy, czemu to uczynił. Raczej jednak dla własnego bezpieczeństwa, niż dla czego innego, chwycił broń z nocnej szafki. Gdy znalazł się pod drzwiami i, o dziwo, otworzono mu je, jak zawsze życzliwie, po-macierzyńsku — ogarnęła go wściekłość, zazdrość, oburzenie. Marcelina była ubrana, jak zwykle. Wyglądała pięknie. Oczy tylko przysłaniała matowość rozkosznego przeżycia. Uprzejmie zapraszała go, by usiadł. Pytała, czy nie napije się kieliszek wina. A może życzy sobie czarnej kawy?. Mówiła to spokojnie, bez cienia jakiegokolwiek wzruszenia. Antonio wybuchnął:

— Kocham panią i pragnę poślubić!...

Spojrzała dziwnie, nawpół współczująco, nawpół drwiąco. Powtórzyła:

— Napije się pan wina?

— Pytam panią, czy zechce pani wyjść za mnie za mąż?

— Skąd w panu takie gwałtowne postanowienie?

— Pani sobie ze mnie drwi... — odrzucił te obelżywe słowa.

— Proszę, niech pan się uspokoi...

— Nie mogę dłużej znieść tego. Niech się pani decyduje!

— Byłoby najmądrzej, gdyby pan zechciał opuścić moje mieszkanie. Jak się pan uspokoi — pozwalam panu jeszcze raz przyjść... — złagodziła wyrok.

— Nie, ja muszę dziś wiedzieć! — uparł się manjacko.

— Dziś panu nie odpowiem...

— Zamknęła mi pani przed nosem drzwi, bo był tu ten stary, łysawy kretyn.

— Jak się pan wyraża o moich znajomych!

— Powtarzam, widziałem go, jak tu gospodarował przed godziną...

— Pan mnie podglądał? Jak pan śmiał!... — zawołała oburzona, lecz nie zdradzająca zaniepokojenia.

— Kocham panią! Kocham do szaleństwa...

— Nic mi po pańskiej miłości! Jest pan jeszcze dzieciak... — odrzuciła spokojnie.

— Chcę panią poślubić...

— Opuść pan natychmiast moje mieszkanie.

— Nie, ja stąd nie wyjdę...

— Przecież nie pozwoli pan, żebym wołała policję!

— Ostatni raz pytam: wyjdzie pani za mnie za mąż?

— Nie wyjdę!... — odpowiedziała twardo, bez cienia nerwów.

Słowa te spadły na Antonia, jak grom. Wyszarpał z kieszeni rewolwer i strzelił. Kula roztrzaskała głowę, druga — skrwawiła, leżące na dywanie dorodne, piękne ciało...

W oczach zciemniło mu się: upadł przy niej na dywan.

* * *

Na morskiej fali kołysze się różowy, piękny, zgrabny akt kobiecy. Jakże jest ponętny w niedbałej, kuszącej pozie! Rojno na plaży w Ostji.

Roma.

Drobiazgi dworskie

Współczesne reguły protokółu niczem nie są w porównaniu z temi, których przestrzegano ongiś, kiedy każda chwila, gest, słowo — ujęte były w ramy cudacznego rygoru.

Weźmy, naprzykład, bieg codziennego życia Ludwika XIV-go. Zaczynało się od samego rana, gdy najjaśniejszy monarcha raczył przetrzeć oczy. Ubierał się. Czereda sług i dworzan, posłusznych manekinów, otaczała go zwartem kołem. Czy mógł jeden człowiek podać królowi... koszulę? Za nic. Jeden z dworzan pomagał wciągać prawy rękaw, innemu dane było trzymać lewy, jeszcze inny zapinał guziki.

Gdy król zażądał filiżanki buljonu — wnet rozkaz z ust do ust przechodził zgodnie ze stopniami hierarchji dworskiej aż do kuchni, skąd wnoszono naczynie pod eskortą gwardzistów, stawiano je na stole i poddawano próbie pierwszemu „maitre d'hotel'owi", paziowie meldowali o tym etapie ceremonjału, inni nieśli szczerozłotą tacę, a za nimi korowód dworzan; szambelan odbierał buljon z szacunkiem i niósł dalej do nadwornego lekarza, aż wreszcie Jego Królewska Mość mogła nasycić głód... zimną strawą.

Najwięcej tradycyj zachował dwór angielski. Niektóre z nich wywołują nawet u samych monarchów, dyskretny uśmiech ironji, jak, naprzykład, obyczaj, by w czasie przedstawień operowych, para dworzan niosła przed królem olbrzymie kandelabry z kopcącemi świecami. Albo zwyczaj, praktykowany z okazji otwarcia parlamentu, nakazujący oddziałowi staroświecko odzianej yeomanry (gwardja szlachecka) przeszukanie podziemia gmachu wobec możności ukrycia w nich „beczułek z prochem". Albo forma czynszu dzierżawnego, pobieranego co rok przez króla za odwieczne dobra korony, położone w samem centrum Londynu, składające się z domu i kuźni, za które należność stanowią: dwie wiązki drzewa opałowego, sześć podków i sześćdziesiąt jeden hufnali końskich.

Okładkę projektował
LEON CHEJFEC

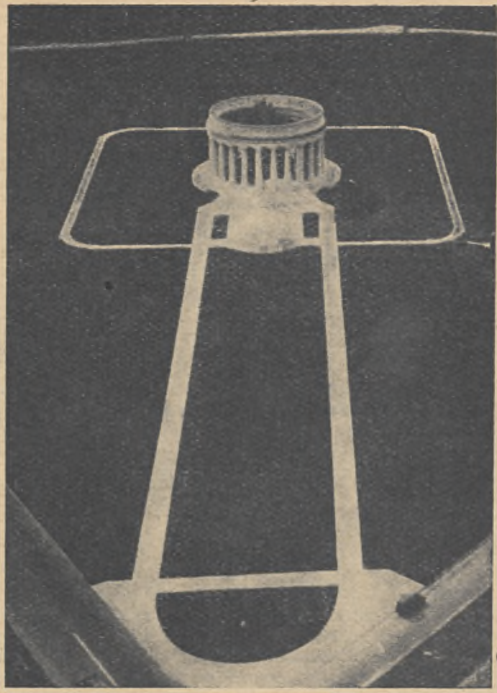
Co słychać na świecie



Wystawę retrospektywną zmarłego rzeźbiarza Bourdelle'a (twórcy pomnika Mickiewicza w Paryżu) odwiedził p. amb. Chłapowski.



Sensacyjny proces majora Kubali został zakończony wyrokiem, skazującym go na 1 rok więzienia i wydalenie z korpusu oficerskiego.



Zmarłemu w zagadkowy sposób b. prez. U. S. Hardingowi, wystawiono w rodzinnem jego mieście, Marion, mauzoleum.

Rewja ubiegłego tygodnia daje nam przedsmak głębokich wstrząsów, które bynajmniej nie wpływają na uspokojenie umysłów stroskanych klęską bezrobocia i obawą powikłań międzynarodowych. Gorąco jest w Hiszpanji, gdzie nieszczęśliwy król miota się i pertraktuje ze wszystkimi o wszystkiem, byleby znaleźć wyjście z groźnej sytuacji. Gorąco jest we Francji, gdzie pierwsze już poczyniono zakusy w kierunku obalenia rządu Laval'a, a ministrami z poprzednich kombinacyj politycznych z Peretem na czele, pomiatają publicznie. *Les politiciens — la rascaille parlementaire* wszystkim dała się we znaki (jednym z licznych przykładów jest drobny fakt, iż gdy redakcji pisma „Le Rire" przyszło do głowy wydać numer, poświęcony dość wulgarnemu, nawiasem mówiąc, ośmieszeniu parlamentu — nakład został rozchwytany w parę dni). Gorąco jest w Niemczech, gdzie Hitlerowcy, Hugenbergowcy i komuniści urządzili wspólnemi siłami manifestacyjny sabotaż Izby.

Źle się dzieje... Zwolennicy parlamentaryzmu załamują ręce nad tem zjawiskiem, świadczącem o pogłębiającym się z każdym dniem kryzysie parlamentaryzmu. Biadają nad zanikaniem tendencyj kompromisowych, będących, ich zdaniem, jedyną rękojmią ładu.

Czy jest tak — czy inaczej, stwierdzić jednak musimy, że parlamentaryzm przeżywa poważną chorobę.

Najgroźniejszem zjawiskiem dla równowagi świata jest zaostrzający się kryzys ekonomiczny. Masy zdemoralizowanych bezrobotnych stanowią doskonały materjał zapalny dla żywiołów wywrotowych, podległych rozkazom Kominternu. Próbę sił wyznaczono na koniec bież. miesiąca. Środek zapobiegawczy w formie masowych aresztowań, stosowany we wszystkich niemal krajach, jest słabym paljatywem.

Ogólnym tematem dyskusyj wewnątrz kraju były trzy sensacyjne procesy — o udział w zajściach z 14 września, o zamach na marsz. Piłsudskiego oraz o naruszenie dyscypliny wojskowej przez majora Kubalę. Nie mniejszą sensację wywołało zlikwidowanie P. P. S.—lewicy na terytorjum wszystkich województw.

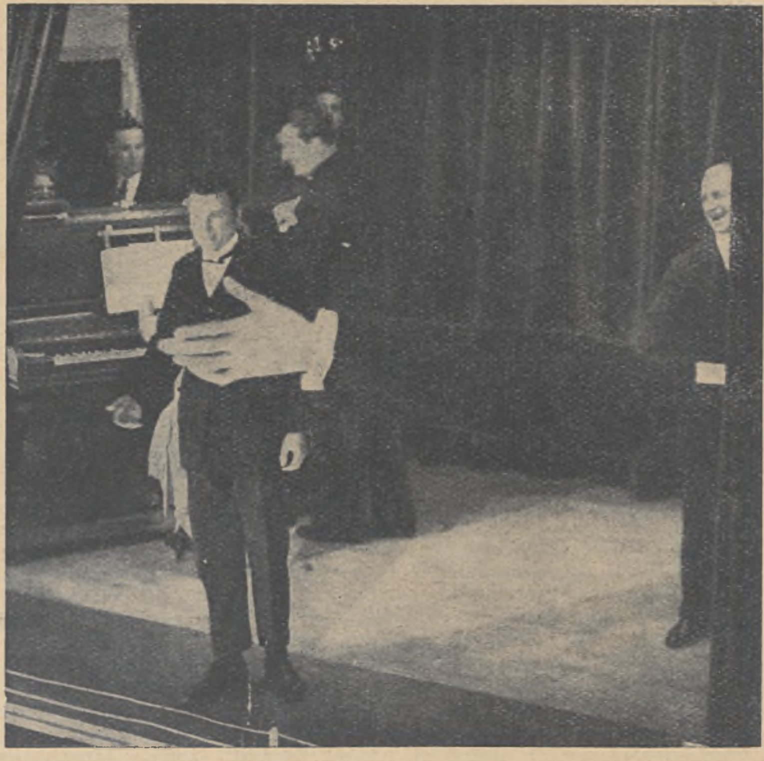
Ze zdarzeń innej kategorji zanotować należy zdobycie pierwszej nagrody na międzynarodowym konkursie tenisowym w Nicei przez mistrza Polski, Ignacego Tłoczyńskiego.

Komunikujemy niniejszem, iż od dn. 6-go b. m. p. HENRYK FIEDLER przestał pracować w naszem wydawnictwie, z którem żadne stosunki nadal go nie łączą.

Zarząd wydawnictwa



Maleńka córeczka posła amerykańskiego w Albanji, Joyce Gitlin, odbyła samodzielnie podróż z New Yorku do Europy. Zdjęcie zostało dokonane w chwili przybycia do Paryża.



Oryginalną atrakcję teatrzyków paryskich stanowią występy amatorów. W razie, jeśli popis zasługuje na wygwizdanie, ogromna ręka z za kulis ściąga adeptów sztuki z estrady.

MAURYCY DEKOBRA.
Z CYKLU: „WĘDRÓWKI PO KALIFORNJI".

Tajemnice chińskiej dzielnicy

Czytaliśmy wszyscy, przynajmniej w tłomaczeniu, powieści angielskie, w których Chińczycy z China Town wyobrażeni są w potworny sposób, niczem ludojady z bajki. I mimowoli, po tak budującej lekturze, oglądamy się za siebie ze strachem i rewidujemy wieczorami zakamarki mieszkania w obawie, czy nie ukrywa się tam jaki Chińczyk uzbrojony w sztylet.

Przedziwna ta dzielnica San Francisco podsunęła niejednemu autorowi sensacyjne tematy. Opium, zasadzki, porywanie białych kobiet, wstrząsające zemsty — oto chleb powszedni, którym karmiono liczne rzesze czytelników.

Przyznaję się, że i ja nafaszerowałem sobie głowę podobnemi sensacjami, to też pierwszą rzeczą, którą uczyniłem po przyjeździe do San Francisco, było odwiedzenie komendy policji, gdzie poznałem niejakiego Johna Maniona, pełniącego odpowiedzialne funkcje szefa detektywów, opiekujących się wyłącznie dzielnicą chińską. John Manion — to niekoronowany król, pan życia i śmierci gentlemenów o skośnych oczach z China Town, to człowiek, który w ciągu 10-u lat służby w tej dzielnicy zdołał ją doprowadzić do porządku.

John Manion przyjął mnie niezwykle uprzejmie, lecz zbił mnie z tropu ironją, z jaką potraktował moje wiadomości o China Town. Ponure tragedje, tajemniczość, gwałty — wszystko okazało się grubo przesadzonem. Oto co mi oświadczył:

— Stworzono pewną legendę o naszej dzielnicy chińskiej. Szelmy—dziennikarze i literaci, chętnieby wszystko okraszali posmakiem sensacyjnej tajemniczości. Przyznaję, iż dawniej, przed trzęsieniem ziemi z r. 1906-go, chinusie moi stanowili niezbyt miłą socjetę. Teatralne dekorum cudownie nadawało się do tego. I można tu było natrafić na niezwykłe rzeczy. Mówiono o dzielnicy podziemnej, niedostępnej dla ogółu białych. Chińczycy lubią wprawdzie grzebać się po piwnicach i lochach. Posiadają tego obfitość. Połączenie trzech piwnic dawało pole dziennikarzom do najróżnorodniejszych domysłów. Wyobrażali je jako powikłane labirynty — bez wyjścia. Mówiono o wypadkach porywania kobiet białych, na które rzekomo Chińczycy są niezmiernie łasi. I skoro tylko rozchodziła się wiadomość o zaginięciu białej, w tej chwili robiono z niej jakąś zwarjowaną zwolenniczkę opium, która dnie całe spędzała w piwnicach u Chińczyków.

— No, przypuśćmy... jak to było w samej rzeczy? I jakżeż teraz ma się tam?

— Główną przyczyną różnorodnych waśni i bójek była walka bez pardonu dwóch wrogich obozów: t. zw. *Tongów i High bindersów*, którzy przed wojną stanowili groźny element wiecznie ścierający się ze sobą. Od niejakiego czasu jednak zanotowaliśmy tylko dwa wypadki zTongami. Zawdzięczamy to uspokojenie usunięciu najgroźniejszych antagonistów, których celowo rozsiedliliśmy po całej Kalifornji. Naogół jednak przeważa tęsknota do spokojnego pędzenia żywota i bezpiecznego rozwijania aktywności gospodarczej. Wiele zawdzięczamy również energicznemu potraktowaniu sprawy szmuglu opium.

— Czyżby więc mniej palili?

— Daleko mniej. Opowiem panu, do jakich pomysłów uciekają się Chińczycy, aby ukryć przed czujnem okiem naszego nadzoru drogocenne opium. Proszę popatrzeć — oto tu, w szafie, stoi, naprzykład, para pięknych bucików. Cóż w tem nadzwyczajnego? Proszę bliżej przypatrzeć się obcasom. Schowek idealny, w którym można ukryć do 2-ch uncyj opium. Albo też ta niewinna napozór bańka, która zawiera w samej rzeczy 9/10 benzyny, a pod drugiem dnem — opium. Czyż nie jest pomysłowe wydrążenie schowka w rączce tego czajnika, albo w tym kiju od miotły .Proszę sobie wyobrazić, że aresztowaliśmy któregoś dnia Chińczyka, udającego głuchotę, okazało się natomiast, iż istotnie trudno mu słyszeć, gdyż w uszach ukrywał sporą porcję opium przykrywając ją zzewnątrz watą. Pomysłów jest masa — nadzwyczajnych, coraz to innych i trudnych do zdemaskowania. Ale... ale... tak sobie rozmawiamy, a tu godzina dziesiąta. Doskonała pora dla zwiedzenia China Town. Służę panu...

✵

Noc jest widna i ciepła. Jesteśmy na Grant Avenue. Wkraczamy już do dzielnicy chińskiej, która rozpoczyna się o pięć minut drogi od Union Square. Gdyby nie to, że cały personel w sklepach jest żółty, a na ulicach przeważają ludzie o skośnych oczach — ubrani są zresztą w marynarki i nie noszą tradycyjnego warkocza — możnaby myśleć, że znajdujemy się na pierwszej lepszej ulicy Paryża.

Spostrzegam na jednym z rogów ciekawe domostwo — jednopiętrowe, drewniane i bogato rzeźbione.

— Dom ten — objaśnia mi uprzejmy przewodnik — który pozornie wygląda na rezydencję jakiegoś dygnitarza chińskiego, przywiązanego do kultu tradycyj jest w samej rzeczy centralą telefoniczną, którą sami zbudowaliśmy w tym stylu. Proszę za mną — pokażę panu, jak pracują nasze telefonistki.

Wchodzimy. Panienek jest kilkanaście. Drobniutkie, ubrane są *up to date* po francusku. Siedzą przy aparatach i łączą.

— Niech pan zwróci uwagę na tablice. Czy widzi pan numery.

— Ach tak, istotnie... Więc jakże sobie radzą?

— Pamięcią. Fenomenalną wprost pamięcią. Wiedzą, że oto ten otwór odpowiada telefonowi pana Sing, że ten drugi należy do pana Hong i t. d. Mamy 2 600 chińskich abonentów, którzy stanowią jedną niemal rodzinę o podobnem brzmieniu nazwisk. A jednak telefonistki doskonale orjentują się i nigdy nie popełniają błędu.

Opuszczamy centralę telefoniczną. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy spostrzegam sklep z dziwnemi jakiemiś wiktuałami. Przewodnik mój prowadzi mnie ku wystawie.

— Wiele tu jest doskonałych rzeczy... Radzę panu przyjrzeć się.

Patrzę na niego z niepokojem. Przypuszczam, że nie zmusi mnie do skosztowania tych czarnych jajek, przechowywanych w trocinach od trzydziestu lat, albo tej kaczki — spłaszczonej i lśniącej, jakby w galarecie; albo tych krewet cuchnących zgnilizną lub chudych żab, nadzianych na pałeczkę... A już straszne są te karaluchy wypełniające słój niczem karmelki, albo te suszone chrabąszcze, doskonałe rzekomo przeciw newralgji oraz na uśmierzenie bólów porodowych. Nie dobrze mi się robi na widok tych specjałów, których na szczęście nie znał Lukullus. Lecz największą odrazę budzi we mnie coś podobnego, do kości palonych i do ptaków smażonych w fryturze.

— A to jest nadzwyczajne... — tłomaczy mi John Manion. — Pewne specjały z byka lub niedźwiedzia stanowią podobno środek skuteczny dla tych, którzy mają przyczynę do biadania nad utratą potencji... Ale teraz, kiedy widzę, że przynajmniej w wyobraźni nasycił się pan dowoli, możemy iść dalej.

✵

Opuszczamy główną ulicę i skręcamy do jakiegoś zaułka. Ciemno tu jest, nędzne trzypiętrowe domy bynajmniej nie budzą zaufania. Zatrzymujemy się przed otwartemi drzwiami, za któremi spostrzegamy drewniane schody.

— Tam, na górze rezyduje chińska dama, trudniąca się, że tak powiem, sprzedawaniem „uśmiechów". Stanowi ona nielada kapitał dla mężczyzny, który kontroluje jej buchalterję, gdyż warta jest conajmniej pięć tysięcy dolarów.

Proceder ten, oczywiście, nie jest dozwolony, ale łatwo obejść prawo, zajmując chociażby dwa łączące się ze sobą pokoje w hotelu.

— Skoro jednak imigracja jest wstrzymana, to jakże dają sobie radę z werbowaniem nowych adeptek?

— Otóż widzi pan — sposób jest dość łatwy, gdyż nie możemy zakazać kupcom chińskim odbywania tu podróży z ograniczonym terminem. Wystarczy okazać w odpowiednim konsulacie patent handlowy. Meldują, że towarzyszyć im będzie żona. A po przybyciu na miejsce sprzedają domniemane połowice zawodowym odbiorcom tego towaru — i wszystko jest w porządku.

Jakiś kot miauczy przeraźliwie.

Natykamy się na eleganckiego młodzieńca. Mija nas, ocierają się niemal o ścianę, chyłkiem mknie dalej i widzimy jak znika w pewnem miejscu, jakgdyby wsiąkł.

John Manion pokazuje mi nieco dalej jakiś ślad na ścianie korytarza.

— Wczoraj zabito tu Chińczyka. Sprawa na tle rywalizacji o jedną z miejscowych piękności.

— No więc rozgrywają się tu od czasu do czasu dramaty...

— Nie mówiłem panu, żeby już China Town był koniecznie rajem na ziemi...

— No nie, ale...

— Świetnie! A jeśli pan jest amatorem dramatu, to najpierw zaprowadzę pana do Chińskiego Teatru, w którym ujrzy pan aktorki, w cudownie haftowanych strojach i aktorów uzbrojonych w jatagany, a później zapoznam pana z pewnym starcem, który zaprowadzi na miejsce gdzie w swoim czasie popełniono wstrząsającą zbrodnię, jedno z największych przestępstw w tej okolicy...

Ważne zmiany w armji francuskiej



Na miejsce marszałka Pétain, który opuścił naczelny Inspektora Armji, został mianowany generał dyw. Weygand. Nominacja ta wywołała na łamach prasy francuskiej żywą dyskusję.



Szefem sztabu generalnego armji został mianowany gen. Gamelin, wchodząc jednocześnie do Najwyższej Rady Wojennej.

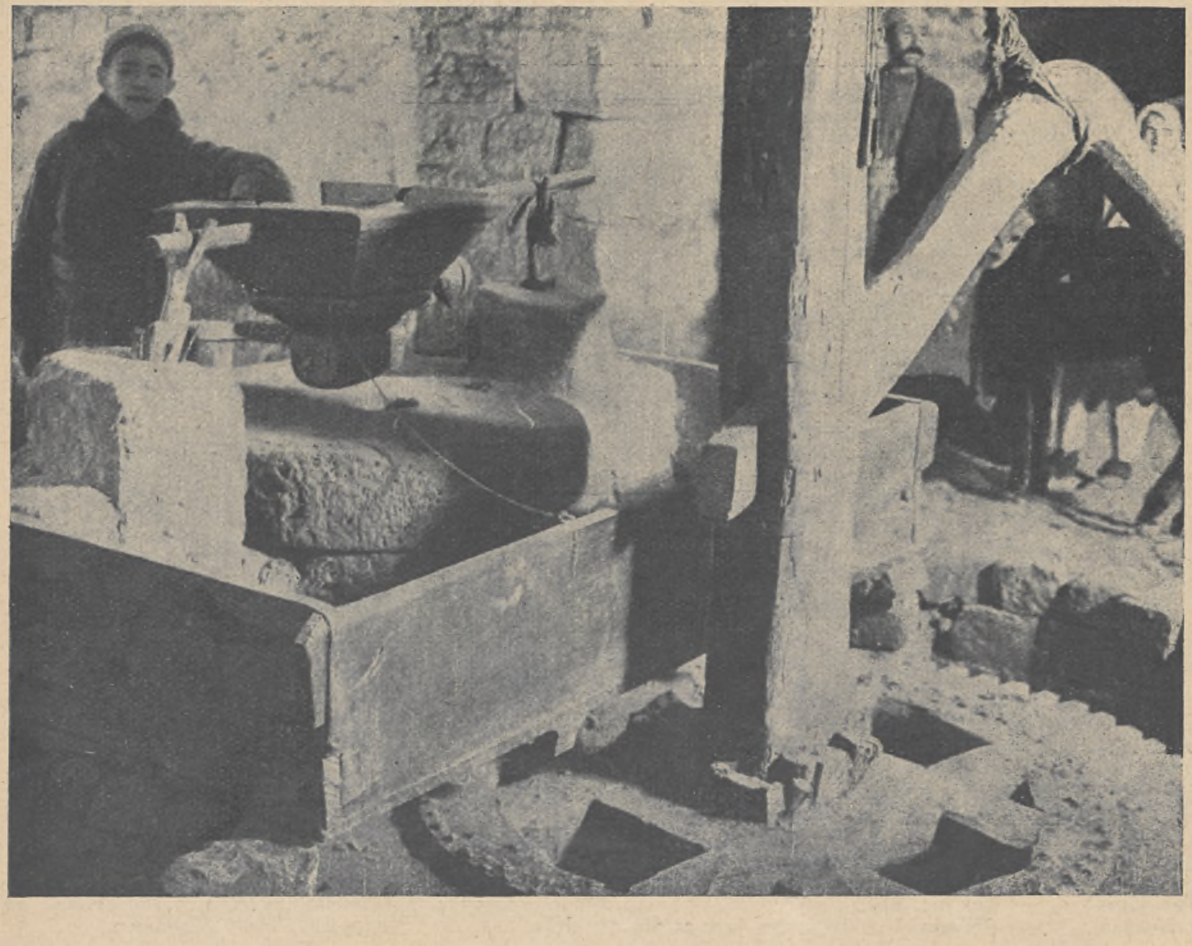
Na wschodnim szlaku







Aleppo jest jednem z największych miast lewantyjskich, o bogatej przeszłości, sięgającej czasów z przed Narodzenia Chrystusa. W charakterze miasta przeważają cechy wschodnie. Przemysł i handel rozwija się tu na szeroką skalę, zwłaszcza w dziedzinie tkanin brokatowych, jedwabi, muślinów i t. p. Na planszy zestawiliśmy widoki z najstarszych dzielnic muzułmańskich: dawne fortyfikacje warsztat tkacki, prymitywną obsługę młyna i t. p.





Wśród pięknej przyrody, skąpanej blaskami słońca, na tle pagórków, uwieńczonych kapeluszami cedrów i sosen, leży prastare miasto Aleppo, stanowiące klucz do niezmiernie ważnego rozgałęzienia dróg. Tędy szlak wiedzie do Mossulu, Bagdadu, do Damaszku i Bejrutu — do Ziemi Świętej i do Indyj.

I niktby nie przypuszczał, patrząc na idyliczne widoki tego miasta, że o nie staczano krwawe boje i że tu może rozegra się jeszcze niejedna walka.

Fragment walk o szlak wschodni podawaliśmy przed dwoma laty w sensacyjnym pamiętniku pułk. Lawrence'a. Przed czterema laty Francuzi uśmierzali zbuntowane plemiona Druzów. Tajemnicze knowania obrońców Islamu i rosyjskiego Kominternu nie przestają niepokoić państw które podzieliły sobie w tych stronach wpływy (umowa zasadnicza pomiędzy Francją a Anglją z roku 1916-go).

Narody europejskie walczą nietylko o żyzne okolice dolin Jordanu, Eufratu i Tygrysu, ale i o olbrzymie, jałowe przestrzenie pustyń, o szkielety gór, o ubogie wioszczyny, zarażone nienawiścią ludzi i strasznemi chorobami.

Traktat, o którym wspomnieliśmy, miał rzekomo na celu rozstrzygnięcie sprawy o posiadanie drogi żelaznej, wiodącej z Aleppu do Bagdadu i do Mekki. Czyżby chodziło o miejsca święte? O przewożenie pątników?... Czy raczej nie o zagrożenie indyjskich posiadłości Wielkiej Brytanji oraz o zaszachowanie kanału Sueskiego?

A tymczasem mieszkańcy Lewantu, o których słusznie mówi Fr. Ossendowski*), iż dusza ich „nie posiada listka figowego" cynicznie frymarczą — to tym, to innym zachodnim klijentom, ofiarowując swe usługi, z uśmiechem zdrady na ustach, gotowi dać się przekupić za byle grosz. Bo w samej rzeczy prowadzą najzupełniej określoną politykę zbliżenia narodów Islamu, kto wie, czy nie planując wielkiej krucjaty przeciw Zachodowi.

Czy opłaci się narodom europejskim walka o utrzymanie swych wpływów — okaże to przyszłość. W każdym razie uważać należy, iż sprawa t. zw. mandatów jest rzeczą bardzo kosztowną, a najlepiej wiedzą o tem Francuzi, jako mniej zainteresowani od Anglików.

Intryga i nienawiść, sowicie podsycane pieniędzmi z różnych źródeł, rozsiadły się w tym pięknym kraju.

Na szlaku wschodnim zgaśnie jeszcze nie jedno życie ludzkie i nieraz zabłyśnie krwawa pożoga walki...

*) „Gasnące ognie". Rzecz ta, zawierająca opis podróży Fr. Ossendowskiego po wybrzeżu „Świętego Wschodu", zawiera masę cennych materjałów, odnoszących się do poruszonego przez nas zagadnienia. Sprawozdanie z tego ostatniego utworu znakomitego naszego podróżnika, ukaże się w jednym z najbliższych numerów.

JANUSZ MEISSNER, por. pilot.

Wystawa lotnicza w Paryżu

1930 — 1931 r.

Korespondenci i przedstawiciele międzynarodowej prasy fachowo-lotniczej, zaproszeni w roku bieżącym do Paryża na wystawę przemysłu lotniczego, znaleźli się w wyjątkowo korzystnem położeniu, jeśli chodzi o bezstronność ich sprawozdań, opisów i uwag o paryskim Salonie Aeronautycznym. Mianowicie wbrew dotychczasowej tradycji, Francuzi ograniczyli się jedynie do umożliwienia przedstawicielom cudzoziemskich pism lotniczych zwiedzenia wystawy, nie wydając na ich cześć żadnych (wiążących do pewnego stopnia) bankietów i nie starając się w jakikolwiek bądź sposób wpływać na ich opinję o rozwoju lotnictwa francuskiego.

Naogół stwierdzić trzeba ogromny kontrast, jaki uderzał między wielkim postępem w zakresie techniki, doboru materjałów konstrukcyjnych i zastosowania paliwa, a zupełnym brakiem tego postępu w wynalezieniu nowych dróg rozwoju zalet aerodynamicznych najnowszych statków powietrznych.

Jeżeli chodzi o eksponaty francuskie, których naturalnie było na wystawie najwięcej, to nie odznaczają się one zbytnią oryginalnością pomysłów. Konstruktorzy francuscy, jak jeden mąż, wzorują się na samolotach Junkersa lub Fokkera.

Jedyną francuską nowością na wystawie, nowością, która rzeczywiście stanowi krok naprzód w dziedzinie konstrukcji lotniczej, był *Breguet 27*.

Szczególną cechą wyżej wspomnianego samolotu jest jego szkielet główny, czyli podstawa, wykonana z dwóch belek stalowych w kształcie krzyża. Użycie belek stalowych znakomicie wzmacnia całość konstrukcji, a jednocześnie pozwala na zniesienie części kadłuba między miejscem obserwatora, a opierzeniem ogona, co znacznie powiększa pole obstrzału z samolotu.

Na zakończenie uwag ogólnych o eksponatach wystawy, dodać należy, że znakomita większość konstruktorów przeszła na metal, porzucając prawie zupełnie drzewo i płótno, z wyjątkiem konstruktorów angielskich, którzy nadal nie pokrywają blachą swych doskonałych maszyn, natomiast potrafili tak uodpornić płótno, że w zupełności zastępuje ono ciężki materjał metalowy a nawet go przewyższa.

Nie będąc w stanie w szczupłych ramach niniejszego artykułu dać nawet pobieżnego opisu wszystkich stoisk i pawilonów, oraz wszystkich eksponatów w nich wystawionych, zmuszeni jesteśmy ograniczyć się do rzeczy najciekawszych i najbardziej godnych widzenia, które jednak mogą dać naszym czytelnikom zbliżony do rzeczywistości pogląd na całość wystawy.

Z pośród firm angielskich jedynie *Armstrong, Whiteworth-Atlas* i *Bristol Buldog* miały własne stoiska.

Stoisko firmy *Palmer* i wyroby firmy *Continental* — gromadzą tłumy, oglądające słynne w całym świecie ze swej prostoty i małej wagi pneumatyki.

Naturalnie ogromne zainteresowanie wzbudziły maszyny firmy *De Havilland Puss-Moth*, które demonstrowano na stoisku *Moran-Saulnier*. Firma ta posiada licencję na produkowanie i sprzedaż *Moth'ów* we Francji i jej kolonjach.

B. F. W. (Bayerische Flugzeugwerke A. G.). Eksponatem tej firmy był ten sam *B. F. W. M23 c*, na którym Fritz Morzik zdobył pierwsze miejsce w Raidzie międzynarodowym 1930 r. Samolot posiada ten sam silnik, typu *Argus* i zaopatrzony jest w ten sam numer porządkowy *B3*, którym był oznaczony podczas wyżej wspomnianego raidu.

Bernard (Societe des Avions) wystawił trzy samolotu typu *191 GR.*: 1) *„Oiseau Canari"*, na którym Assolant, Lefevre, Lotti i przygodny towarzysz ich podróży — Schneider, odbyli lot z Ameryki do Europy dnia 11 czerwca 1929 r. 2) *S 73* — jednopłat jednomiejscowy i 3) *H. V. 42*, wodnosamolot pościgowy.

L'Oiseau Canari posiada trochę przestarzałą budowę i zaciekawia jedynie z punktu widzenia historycznego. *S 73* jest bardzo pięknym jednopłatem, zaopatrzonym w silnik *Gnome-Rhône — Titan Major* o sile 300 KM. *H. V. 42* został skonstruowany dla ćwiczeń francuskich zawodników o puhar Schneidera. Różni się on od *S. 73* jedynie silnikiem typu *Hispano-Suiza* dwunastocylindrowym, o sile 900 KM i pływakami. Pozatem budowa jego nosi piętno wszystkich wodnopłatowców, walczących o Puhar Schneidera i nadaje się doskonale do zawodów szybkości, które pewnie wkrótce ujrzymy we Francji.

Blériot Aeronautique wystawił: 1) Typ *125*, jednopłat dla dwunastu pasażerów; 2) Typ *111*,

---

JADWIGA KIEWNARSKA.

STRACONE ZŁUDZENIA



Każdego, kto przyjeżdża do Paryża, pełen przygotowanych na zapas zachwytów, na temat przysłowiowego szyku paryżanek — czeka srogie rozczarowanie. Paryżanki nie są wcale szykowne. Nie przypominają, ani rozkosznie przestylizowanych sylwetek z „La Vie Parisienne", ani standaryzowanie wytwornych pań z „Europy" i „Ziemiańskiej", zawiniętych w identycznie skrajane karakuły lub foki i używających, z zadziwiającą solidarnością, tej samej pomadki do ust.

Paryżanki nie są szykowne, lecz zato każda z nich jest inna, ale to zupełnie. Wcale nie usiłują upodobnić się jedna do drugiej, nic im na tem nie zależy. Każda ubiera się tak, jak się jej podoba, a raczej tak, jak ją stać: nosi to, co ma. Więc: do sportowego palta, strojne jedwabne czółenka, na wykrzywionych obcasach; długie, jedwabne godety, falujące z pod wysłużonego trenchcoat'a; wytarte króliki, przy pluszowem, ongi wieczorowem palcie... słowem wszystko.

Obok potwornych, ucharakteryzowanych na operetkowe podlotki, staruch, spotyka się tu i poczciwe, bezpretensjonalne staruszki siwowłose i pomarszczone, poubierane tak niemodnie, że aż stylowo. Takuteńkie, jakie u nas zaludniają wileńskie kościoły. W Warszawie podobnych już niema.

Malarstwo autoportretowe dochodzi tu do najdalszych granic impresjonizmu. Oglądałam w Café du Dome, sławetną Kiki, bożyszcze malarzy. Przy wyrudziałem paletku miała zniszczonego kota, zdradzającego po śmierci wygórowane ambicje symulowania lamparta; do kota był przypięty czerwony goździk. Kapelusz miała Kiki zielony, filcowy i wszechstronnie oklapnięty, ale zato powieki tej uroczej osóbki były aż po brwi umalowane na zielono, dokładnie pod kolor kapelusza. Od kącików oczu szły ku skroniom, grube, skośne, czarne krechy; zdaje się, że chodziło o nadanie twarzy piętna egzotyzmu. Wszystko razem wyglądało nader oryginalnie i niewątpliwie po malarsku.

Kiki nie jest bynajmniej wyjątkiem. Wszędzie i o każdej porze dnia spotyka się tu kobiety, wymalowane w sposób zgoła fantastyczny, bez najmniejszych pozorów troski o prawdopodobieństwo. Ale obok takich żywych plakatów, widzi się tu również dużo kobiet, obnoszących z zupełną nonszalancją wszystkie swoje zmarszczki i piegi au naturel. Są i takie, co nie używają pudru. A niektóre nie mają nawet wyskubanych brwi, choć w to z pewnością nie uwierzy żadna warszawianka.

W każdym razie, żadna cudzoziemka, nie czuje się tu przytłoczona urodą i elegancją kobiet tubylczych.

Znacznie lepiej, eleganciej od kobiet, prezentują się tu mężczyźni. Jest wśród nich dużo cudzoziemców, zwłaszcza na Montparnasse, która to dzielnica zamieni się wkrótce w istną wieżę Babel. Ale i rodowitych paryżan, tych młodszych, cechuje specyficzna dbałość o wygląd i ubranie, charakterystyczna zalotność obejścia, świadcząca o tem, że „Słaba Płeć" Bourdet'a (dotąd nie schodząca tu z afisza) jest może lekką złośliwością, ale przecie nie oszczerstwem.





Spragnionego sensacyjnych nowości cudzoziemca, czekają same déboire'y (mówmy po parysku). „Słaba Płeć" na afiszu rok trzeci, „Pan Topaz" przy niesłabnącem powodzeniu, rok czwarty. „La petite Catherine" Savoir'a, też niedługo będzie obchodziła drugą rocznicę wystawienia. A w kinach same stare filmy. Wczoraj o mały włos nie dałam się namówić na „Cyrk Chaplina".

Trochę to nudne, taka stałość; ale swoją drogą przyjemnie jest pomyśleć, że jest gdzieś na świecie trwałe powodzenie.

Z tem wszystkiem jednak, Paryż pełen jest uroków i powabów. Do nie najmniejszych przyjemności pobytu w *ville lumiere*, należy rozkoszna świadomość, że się przecie nie jest w Warszawie. A kiedy sobie uprzytomnię, że teraz jest karnawał, i że tam raz po raz telefonują do mnie dobroczynne damy, żądając kategorycznie, żeby „pani Well" przyjechała na bal i opisała toalety ich córek, i dowiadują się z oburzeniem, że „pani Well" śmiała wyjechać... wtedy.., czuję, że pragnęłabym zostać w Paryżu na całe życie.

jednopłat dla czterech pasażerów; 3) *Spad 91*, jednomiejscowy dwupłatowiec myśliwski; 4) lekki samolot jednopłatowy sanitarny, typu *Guillemin*.

Aby podkreślić wielki sukces polskiej konstrukcji lotniczej, oddajemy na tem miejscu głos angielskiemu wysłannikowi wydawnictwa „The Aeroplane", tłomacząc bez żadnych komentarzy ustęp jego listu z Paryża, dotyczący polskiego stoiska na wystawie. Słowa te, które wyszły z pod pióra nieskorego do pochwał angielskiego fachowca, stanowić mogą dowód, jak bardzo udaną konstrukcję wypuściła nasza fabryka, rozwijająca się coraz pomyślniej:

P. Z. L. (Państwowe Zakłady Lotnicze) wystawiły dwa samoloty: P. 6 myśliwski jednopłat jednomiejscowy i P. Z. L. 2, dwumiejscowy jednopłat szkolny. O pierwszej z tych maszyn, to jest o P. 6, można powiedzieć, że uderza ona swoją strukturą i że jest jedną z niewielu rzeczy na wystawie, zasługujących na głębsze przestudjowanie. Przewodnią myślą konstruktora było stworzenie maszyny, nadającej się jak najlepiej do walki powietrznej. Dzięki specjalnej budowie skrzydeł, które, w pobliżu miejsca ich połączenia, załamują się pod kątem i łączą się z kadłubem, tuż przed siedzeniem pilota, odkrywa się przed tym ostatnim widok na wszystkie strony, pozwalając mu łatwo orjentować się w sytuacji. Maszyna jest całkowicie metalowa. Kadłub jej, o linjach prostokątnych, na zewnątrz przechodzi w owal, obity duralem. Cała maszyna robi wrażenie doskonale pomyślanej i ślicznie wykonanej. Odbyła ona wiele lotów, a na ostatnich pokazach samolotów myśliwskich w Bukareszcie zdobyła pierwsze miejsce, zresztą zupełnie zasłużenie, gdyż wyprzedza o tysiące mil wszystko to, co zrobiono dotychczas na Kontynencie.

Najciekawszą może maszyną na wystawie jest wielomiejscowy *Amiot 140 M* dwusilnikowy, przeznaczony do bombardowania. Jest to jednopłatowiec, cały z metalu, z dwoma silnikami *Lorraine-Orion* 700 KM, chłodzonemi wodą. Silniki umieszczone są na krawędzi powierzchni nośnej skrzydeł.

Impresje teatralne

Wesoły Wieczór: „Tylko dla dorosłych".

Dyrekcja „Wesołego Wieczoru" twierdzi, że to „tylko dla dorosłych", a publiczność na to: „Ze mną, jak z dzieckiem". Wszystko strawi, aby jej, jak w „Wesołym wieczorze", podano z humorem, z werwą, wesoło, miło, ładnie (o to postarała się Galewska), składnie i z tempem (to załatwili pomyślnie Sempoliński z Horskim). Słowem, jest na co popatrzeć i czego posłuchać, zwłaszcza orkiestry Karasińskiego i Kataszka możnaby słuchać bez końca, tak znakomita jest w swem imitowaniu Pawła Whitemana. Gorzej jest, gdy Żelichowska usiłuje udawać Ordonkę, w pozatem też bardzo kiepskiej piosence: „Ja muszę kłamstwem żyć". Poco jej to, rzeczywiście? Niech lepiej żyje tańcem — to jej żywioł, ewentualnie niech już śpiewa, ale najwyżej, pytając się: „Czy mi z tem do twarzy?"

Choć tańca i tak jest sporo i to najprzedniejszego. Parnell wyćwiczył, wreszcie, swe „girls", że już, już, jeszcze trochę, a będzie Hoffmann, Tiller, Jackson i sp. Nareszcie, doczekaliśmy się przyzwoitego zespołu „girls". Szereg tańców akrobatycznych Zizi Halamy, Parnella, Słupczyńskiego i Trzcianki świadczą, że można jednak akrobatyzować tanecznie, nietylko cyrkowo, czego niektórzy nie mogą zrozumieć. Układy interesujące, wykonanie świetne, słowem: brawo, bis! Prześlicznie śpiewała i jeszcze śliczniej wyglądała Gabrielli. Szkoda tylko, że tak mało ma do roboty w tej rewji. Choć jeszcze mniej mają takie przemiłe artystki, jak: Niemirzanka (wyborna w zabawnym skeczu), Kraszewska, Bukojemska, a i dla Nowickiej możnaby coś jednak chyba znaleźć. Z męskiego zespołu pracuje z całą parą i dobrym skutkiem jedynie Klimaszewski, skąpo było Rentgena, świetny był Kamiński, jako wyborny „Chaplinek", ale tego „małego" też było za mało. Również za mało było „dużych", jak Krzewiński i Horski. I to ma być rewja „Dla dorosłych"?

Henryk Liński.



Zizi Halama, Parnell, Słupczyński i Trzcianka pięknie tańczą w „Wesołym Wieczorze". (fot. Brzozowski).



J. Bukojemska w „Sile sugestji". (fot. Brzozowski).



Orska i Welin w nowej rewji „Ananasa".



Wschodząca gwiazdka rewjowa — czarująco urocza Basia Gilewska, jest pełną wdzięku „konferansjerką" bieżącej rewji „Ananasa". (fot. Radiotyp).

ROMAN SOBOLEWSKI.

KINDJA I JEJ MAŁPY

Na linji kolei gwinejańskiej Conakry — Niger, w odległości około 150 kilometrów od Atlantyku, znajduje się niewielka mieścina — Kindja. Przed r. 1904-m istniała tu wioska murzyńska tej nazwy — obecnie jest to centrum produkcji bananów i ananasów. Banany, wymagające dla pomyślnej wegetacji poza troskliwą, intensywną uprawą klimatu gorącego, lecz bez znaczniejszych skoków temperatury i nie znoszące silnych wiatrów, znajdują w dolinie Kindji jakby wymarzone warunki dla swego rozwoju.

Ludność Kindji, przekraczająca pięć tysięcy mieszkańców, posiada znaczny odsetek europejczyków; znajdujemy tu agencje i faktorje wszystkich prawie większych domów handlowych, osiadłych na terenie Afryki Zachodniej. Tuż, poza właściwem miastem — jakby drugie, mniejsze miasteczko, tworzy wielki obóz wojskowy.

Jednak najciekawszym jest dla zwiedzającego odległy o parę kilometrów Instytut Pasteur'owski—popularnie tu zwany „Pasteurią". — Któregoś dnia ,odkładając na bok główny cel mego pobytu w Kindji i jej okolicach — wyszukanie terenu pod plantację bananów— postanowiłem skorzystać z nadarzającej się sposobności i zwiedzić ów ciekawy zakład.

Utworzyła się większa grupa zwiedzających, z pośród których wyróżnia się dość groteskowa para małżonków. Jest to starszy duchowny, jednej z licznych sekt amerykańskich, odbywający wraz ze swą małżonką podróż inspekcyjną po misjach, osiadłych na terenie Gwineji. Przeraźliwie chudy ,ogromnego wzrostu, ozdobiony imponującą kruczą brodą, przedstawia doskonały typ potulnego i dostatecznie wytresowanego małżonka, zawojowanego przez swą korpulentną i impetyczną połowicę, stale nie dającą mu przyjść do słowa. Oczywiście, utarczki słowne wynikają na temat jego zbyt wielkiego zainteresowania się spotykanemi dziewczynami murzyńskiemi, — przyczem pani pastorowa wtajemnicza nas mimowoli w pewne szczegóły, nie przynoszące z wszelką pewnością zaszczytu swemu mężowi i bijące boleśnie w jego ambicję męską. Ogólne zaciekawienie budzi aparat kinowy jednego z współuczestników tej wycieczki, korespondenta któregoś z pism amerykańskich. Murzyni z zazdrością przyglądają się jego bogatemu, złotemu uzębieniu, które łatwo możemy podziwiać, gdyż dolna szczęka naszego korespondenta, widać lekko obluzowana w swych zawiasach, stale opada.



Para pacjentów z „Pasteurii".
(Warszawska K. S. A.)



P. Roman Sobolewski, autor niniejszego, ze swą ulubienicą „Bekissi".



Pozatem kokietuje on nas swemi krzywemi, dostatecznie uwłosionemi nogami, niepokojąco obijającemi się o szerokie, krótkie spodenki skautowskie. Uzupełnia nasze towarzystwo miła i przystojna paryżaneczka, żona poblizkiego plantatora, po raz pierwszy bawiąca w kolonjach. Z entuzjazmem, graniczącym z egzaltacją, gotowa jest zachwycać się pierwszą lepszą palmą lub zamorusanem dzieckiem murzyńskiem. Wszystko jest dla niej „formidable" i „epatant".

W parę minut przebywamy samochodem niewielką przestrzeń, dzielącą nas od Instytutu — i oczom naszym ukazuje się, jakby ogromny, jaskrawo odcinający się od reszty krajobrazu, park.

W towarzystwie dwóch miejscowych lekarzy, posuwamy się zwolna wgłąb. Po chwili dostrzegamy wśród konarów pobliskich drzew, jakiś ruch: to dziesiątki małp, pozostających tu na swobodzie, zajęte są wyczynianiem najrozmaitszych produkcyj akrobatycznych. Z chwilą jednak zbliżenia się grupy ludzi — zabawy ustają i cały ten małpi światek z uwagą i wyraźnem zaciekawieniem zaczyna się nam przyglądać.

Nasz Anglik, z przysłowiową flegmą, przygotowuje swój aparat kinowy; jednak w momencie, gdy ten jest już umieszczony na statywie, jeden z większych szympansów, widocznie zaciekawiony nieznanym mu przedmiotem, zeskakuje na ziemię i zwolna zbliża się do nas. Po namyśle, okrążywszy dwukrotnie statyw, wdrapuje się nań — i odrazu zabiera się do poruszania śrub i korbek; wreszcie ujmuje delikatnie właściwą korbę i, po paru próbach, rozpoczyna nią kręcić z miną zawodowca! Wyraz twarzy zdumionego korespondenta wart był zaiste uroczystej miny szympansa, dumnego ze swego czynu!

Inne małpy, zaciekawione tem, co robi ich towarzysz, opuszczają poko-

lei swe gałęzie — i wnet jesteśmy otoczeni zwartem kołem tych zwierząt. Bez zwłoki ujawniają nam one swe przyjazne uczucia w sposób dość nieoczekiwany i nieco krępujący.

Rzeczywiście, parę małp, ujmując nas bez ceremonji za ręce, zaczyna lekko pociągać w swoją stronę, jakby chcąc dać nam do zrozumienia, że wspólna przechadzka przypadłaby im bardzo do gustu. Nasza francuzeczka jest wyraźnie zakłopotana: stary szympans, który schwycił ją za rękę, z uporem ciągnie w swoją stronę, kierując się do pobliskiej palmy. Szczególne zaciekawienie wzbudza broda misjonarza: któraś z mniejszych małpek wdrapuje się na jego ramię, przez chwilę przygląda się nieufnie, poczem próbuje oderwać tę, wątpliwą zresztą, ozdobę urody męskiej. Widać, że jej się to nie udaje, unosi ostrożnie brodę do góry, z zaciekawieniem zaglądając pod spód. Założyćby się można, że chce się przekonać, czy broda ta nie jest przypadkiem fałszywa, przyklejona!

Nasza urocza towarzyszka, nie mogąc się uwolnić od natarczywych zalotów swego przygodnego adoratora, decyduje się wreszcie na czyn heroiczny: szybkim, zdeterminowanym ruchem wręcza małpie swą torebkę. Szympans, siadłszy na ziemi, przygląda się uważnie otrzymanemu przedmiotowi, obracając go na wszystkie strony, poczem delikatnie otwiera zamek i zagląda do środka. Ołówek do ust i puderniczka nie wzbudzają specjalnego zainteresowania, natomiast lusterko przykuwa jego uwagę. Niebawem, strojąc pocieszne miny, zaczyna się w niem przeglądać. Ruchy tego szympansa są tak bardzo ludzkie, że wydaje się nam, że jest on dobrze obznajmiony z mechanizmem woreczka, a i użytek zawartych w nim przedmiotów nie jest mu obcym—że wierzyć się nie chce, aby tak zachowywało się zwierzę. A jednak nie jest to jedynie instynkt naśladownictwa, gdyż małpa ta jest od niedawna w zakładzie — i nie miała dotychczas okazji do zapoznania się z przejawami kokieterji kobiecej...

Wtem zwraca moją uwagę para niewielkich, zupełnie jeszcze młodych, małpek, które, objąwszy się czule, zbliżają się lękliwie do nas. Od czasu do czasu piszczą boleśnie; piękne ich oczy, tak wyraziste — pełne są smutku. Jest to para sierotek: umieszczono je w ogrodzie, zaledwie przed dwoma miesiącami.

W chwili, gdy oddaję się refleksjom na temat smutnego losu tych biedactw, jakieś małe szympansiątko obejmuje mnie z zaufaniem za nogę, jakby dopominając się o pieszczotę. Głaszczę je po głowie — gdy wtem, niespodziewanie wyczuwam pod palcami jakieś twarde przedmioty: to klamry, ściągające jeszcze dość świeżą ranę — dowód, że to maleństwo było już przedmiotem doświadczalnego eksperymentu trepanacji czaszki!

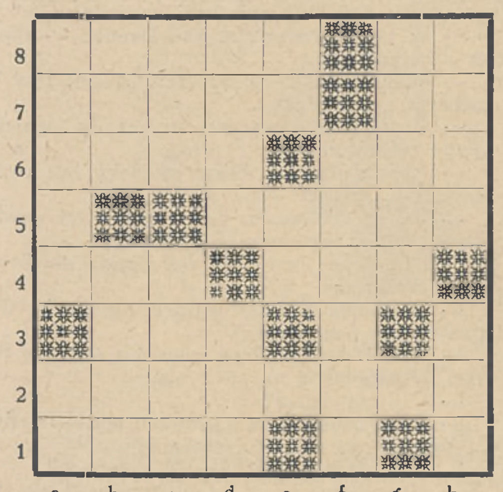
Zrozumiałem jest, że cele naukowe usprawiedliwiają poniekąd męczenie tych niewinnych zwierząt, jednak doświadczenia laboratoryjne, dokonywane na małpach i psach, wydają się doprawdy czemś ogromnie okrutnem i nieludzkiem. Godziny, spędzone wśród państewka małp w Kindji, którego mieszkanki i mieszkańcy z taką ufnością garną się do ludzi, dając niepoślednie dowody inteligencji, wzbudzają dla nich sympatję — i litość zarazem.

Instytut „Pasteuria" dostarcza dla użytku Gwineji, oraz sąsiednich kolonij, szczepionek ochronnych przeciw najrozmaitszym chorobom, spotykanym w kraju, oraz — co jeszcze ważniejsze — „serum" przeciwko ukąszeniom jadowitych wężów, tak licznych w Afryce. Pozatem dokonywane są tu stale doświadczenia i badania naukowe, dotyczące gruźlicy, febry tropikalnej, żółtej febry i t. p. Gwineję wybrano umyślnie jako miejsce działania zakładu, gdyż tu, w warunkach dla siebie najodpowiedniejszych, małpy — materjał doświadczalny — nie są narażone na choroby, którym nieuchronnie podlegają, podczas dłuższego pobytu, w zbyt surowym dla nich klimacie europejskim.

Pięknie urządzone i starannie utrzymane ogrody instytutu kryją się niebawem w obłokach czerwonawego pyłu, podnoszonego przez odwożące nas do miasta samochody. Krótki pobyt w „Pasteurji" wzbudził w uczestnikach naszej wycieczki prawdziwą sympatję dla jej uciesznych i miłych wychowanków i, być może, przysporzył tym bezwolnym ofiarom nauki, paru przyjaciół.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA.



Znaczenie słów.

Wyrazy pionowe:

a8 Ujście rzeki
b8 Imię żeńskie (zdrobniałe)
c8 Opowieść bajeczna
d8 Gaz
e8 Przysłówek
g8 Jeździec arabski
h8 Napój
f6 Naczynie określonego wymiaru
e5 Ważna figura
b4 Królowa znana w historji Polski
c4 Imię skandynawskie
d3 Imię żeńskie (zdrobniałe)
h3 Organ poznania
a2 Miara powierzchni.

Wyrazy poziome:

a8 Zły duch
g8 Nuta
a7 Imię żeńskie
g7 Bóg egipski (wspak)
a6 Pora roku
f6 Lód ruchomy
d5 Przyzwyczajenie
a4 Miasto w Finlandji
14 Saksończyk
b3 Imię żeńskie (zdrobniałe)
a2 Przeciwieństwo syntetyka
a1 Skała podwodna

METAMORFOZA.

Metamorfoza polega na tworzeniu nowych słów drogą zmiany liter. Zmienia się po jednej literze tak, że powstaje wreszcie nowe słowo, którego wszystkie litery powstały z przemian. Np. koń, kot, kat, bat. Dla ułatwienia podajemy dwie litery końcowego słowa.



Nagrody

Za rozwiązanie krzyżówki i metamorfozy z niniejszego numeru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 3 marca b. r.

Rozwiązanie zadania królewskiego z Nr. 4:

Sesja Ligi Narodów.

Nagrody

Za rozwiązanie z Nr. 4 nagrody otrzymują (w wyniku losowania)

25 Zł.

p. J. Surma, Białystok, ul. Dąbrowskiego 30 I p.

Książki beletrystyczne: p.p. Marja Magnuszewska z Warszawy, Teofil Sławnicki, Białystok (p. Sławnicki proszony jest o podanie dokładnego adresu).

J. S. FLETCHER.

Morderstwo na Ogrodowej

ROZDZIAŁ I.

TRZYNASTY KLIJENT.

Shelmore, dwudziestotrzy letni młodzieniec, zaledwie od sześciu miesięcy zajmował się praktyką adwokacką. Osiadł na stałe w swem rodzinnem mieście Southernstowe i szczęście mu jakoś sprzyjało. Mimo krótkiego swego doświadczenia, mógł się już poszczycić całym tuzinem bogatych klijentów, to też honorarja, które Shelmore otrzymywał, umożliwiały mu skromne, lecz dostateczne utrzymanie. Młody adwokat nie był człowiekiem wymagającym i mógłby może mieć nawet większą praktykę, ale nie lubiał zajmować się sprawami błahemi i niepewnemi. Nadewszystko ukochał spokój. Dumny był ponadto z własnej kancelarji, którą już prowadził od pół roku. Codziennie rano, wchodząc do biura, z lubością spoglądał na błyszczącą na drzwiach mosiężną tabliczkę z wyrytym na niej napisem: *Francis D. Shelmore, obrońca prawny.*

Przez jasne dębowe drzwi wchodziło się do małego pokoiku — poczekalni, w której urzędował jedyny pracownik i pomocnik Shelmore'a, nazwiskiem Simmons Hackdale. Z poczekalni prowadziły drzwi do urządzonego z wielkim smakiem gabinetu mecenasa.

Często bywało tak, że jeżeli przychodził któryś z owych dwunastu klijentów, pracownik mecenasa oznajmiał mu, że pan Shelmore jest bardzo zajęty i „szanowny pan będzie musiał zaczekać sekundę". Czas oczekiwania zależny był oczywiście od powierzchowności klijenta i od dobrego humoru Simmonsa Hackdale, gdyż zasadniczo Shelmore miał bardzo dużo wolnego czasu, który poświęcał przeważnie czytaniu i studjowaniu rozmaitych dzieł naukowych, lub też edukowaniu swojego pomocnika.

Główną zaletą młodego adwokata była wrodzona punktualność. Do kancelarji przybywał codziennie na dziesięć minut przed dziesiątą, a dziesięć minut przed piątą szykował się już do wyjścia. Tak samo było i teraz, w środę po południu, ostatniego tygodnia wrześniowego. Shelmore wstał od biurka, ułożył książki w szufladzie i sięgnął po kapelusz. Wsunął do kieszeni ostatni numer „Times'a" i postanowił udać się do ciotki swojej, panny Olivji Chauncey, u której mieszkał na jednej z oddalonych ulic Southernstowe. Stanął jeszcze na chwilę przy oknie, naciągając leniwie skórkowe rękawiczki i wyglądając jednocześnie na ulicę. Od sześciu miesięcy, to jest od czasu istnienia kancelarji, młody adwokat zawsze czynił to samo. Widok ulicy nie był dlań niczem nowem i specjalnie go nie interesował, ale jakże oprzeć się przyzwyczajeniu, które jest niejako drugą naturą człowieka? Shelmore czułby się wytrącony z codziennego trybu życia, gdyby nie naciągał rękawiczek właśnie przy oknie, chociaż przekonany był, że na ulicy nic ciekawego nie dostrzeże. Nagle, zaciekawione spojrzenie przesłał na przeciwległy chodnik. Kancelarja jego mieściła się w domu narożnym i z okna gabinetu widać było dokładnie staroświecki budynek hotelu Chancellor. Młodego adwokata zaciekawiło nagłe ukazanie się wiotkiej postaci dziewczęcej w drzwiach hotelu. Dziewczyna stała przez chwilę na kamiennym stopniu, rozglądając się z powątpiewaniem dokoła, jak gdyby wszystko, co ją otaczało, było dla niej dziwne, obce i nieznane. Figurkę miała zgrabną i młodemu adwokatowi przyszło w tej chwili na myśl, że musiała być bardzo młoda i ładna. Sądząc z ubrania, musiała być przyjezdną. Zdziwienie jego doszło do zenitu, gdy dostrzegł, że dziewczyna, po chwili wahania, szybkim krokiem przebiegła jezdnię i skierowała się w stronę jego kancelarji.

— Dziwnie jest niespokojna — mruknął do siebie. — Sprawia wrażenie, jakby się chciała czegoś ważnego dowiedzieć...

Postać dziewczęca wmieszała się teraz w tłum przechodniów, a Shelmore w zamyśleniu począł zapinać ostatni guzik rękawiczki i sięgnąwszy po parasol, zamierzał opuścić gabinet. Nagle drzwi się otworzyły i na progu ukazał się Simmons Hackdale, trzymając w ręku wizytówkę.

— Jakaś młoda dama... — rzekł lakonicznie. —Pragnie się z panem widzieć.

Shelmore wziął bilet do ręki i przyjrzał mu się z uwagą. Bez wątpienia była to ta sama dziewczyna, którą widział przed chwilą przez okno. W zamyśleniu odczytał nazwisko:

Cynthia Pretty, St. Meliot, Camborne.

Camborne! Przecież to jest miejscowość, oddalona stąd o jakieś trzysta mil! Leży gdzieś w Kornwalji! Cóż to być może?... Skinął głową urzędnikowi i ściągnąwszy z powrotem skórkowe rękawiczki, zasiadł z powagą przy biurku. Spojrzenie jego powędrowało znów ku uchylonym drzwiom, w których ujrzał po chwili pannę Cynthję Pretty, wprowadzaną właśnie przez Simmonsa Hackdale'a. Nie mylił się, sądząc, że była ładna. Istotnie w twarzyczce jej, obramowanej falą złocistych włosów, było tyle powabu, że można było śmiało nazwać ją nawet piękną. Shelmore nie umiałby nawet powiedzieć, jakie miała oczy, przyszło mu tylko na myśl, że w chwili, gdy weszła do pokoju, dookoła stało się jakoś jaśniej i przytulniej. Mogła mieć najwyżsje lat dwadzieścia, a z całej jej postaci tchnęła woń beztroskiej młodości. Młody adwokat uczuł się nagle także młodym i dziwnie małym, w obecności tej wiośnianej dziewczyny.

Stanąwszy na progu, panna Cynthja Pretty zawołała, szczerze zdziwiona:

— Och! więc to pan jest adwokatem, którego nazwisko wyczytałam na drzwiach? Taki młody adwokat!

— Może tylko młodo wyglądam — odparł Shelmore z uśmiechem. — Zapewniam panią, że mam dość dużą praktykę! Zechce pani usiąść...

Wspaniały wodotrysk!



Wodotrysk tryskający strumieniami świateł, wybuchający w przestwor barwną rakietą — zdobi fronton Domu Tow. Braci Jabłkowskich w czasie Białego Tygodnia.

Klijentka usiadła w głębokim fotelu i skrzyżowała ręce na kolanach. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z twarzy Shelmore'a.

— Wygląda pan może na zdolnego adwokata — rzekła. — Właśnie o takiego chodziło mi, bo przykrą mam historję i nie wiem, jak mam postąpić. Wie pan już, że nazywam się Pretty, Cynthja Pretty. Mieszkam w Camborne, w Kornwalji. Jestem współwłaścicielką małej kopalni. Wspólnikiem moim jest niejaki James Deany, który jednocześnie jest moim opiekunem i przyjacielem. Tak chciał mój ojciec, bo, widzi pan, nie jestem jeszcze pełnoletnia; mam dopiero dziewiętnaście lat. Mówię panu o tem wszystkiem, gdyż ma to pewien związek z całą sprawą, z którą tu do pana przyszłam. Otóż ostatnio podróżowaliśmy oboje z panem Deane'm. Ale każde z nas podróżowało oddzielnie. Jako namiętny wielbiciel rozmaitych ruin historycznych, opiekun mój, wyjechał do Północnej Anglji. Ja zostałem w Bath, w towarzystwie szkolnej koleżanki. Postanowiliśmy, że dzisiaj właśnie spotkam się z panem Deane'm w Southernstowe, w hotelu Chancellor. Mieliśmy pozostać tutaj kilka dni, a potem pojechać do Dover i dalej. Przed pół godziną przyjechałam z Bath i ze wszystkiemi walizkami udałam się bezpośrednio do hotelu Chancellor. Zastałam pokój, już przygotowany, bo pan Deane wynajął go natychmiast po swem przybyciu w poniedziałek, to znaczy wczoraj. Pana Deane'a jednak nie zastałam. Zniknął poprostu z hotelu!...

— Zniknął? — zawołał Shelmore. — Jakto? Dlaczgo.

— Niech mnie pan nie pyta — odparła dziewczyna. — Sama nie wiem! Tak mi powiedziała urzędniczka w hotelu. Właściciela nie było, a od niej nie mogłam się wiele dowiedzieć. Odpowiadała mi dziwnie półsłówkami. Dowiedziałam się tylko, że pan Deane przybył do hotelu w poniedziałek i w nocy, z poniedziałku na wtorek, zniknął nagle. Od tej pory nikt go już więcej nie widział. Postanowiłam natychmiast wziąć się do wyświetlenia tej sprawy i obejrzeć się za adwokatem. Wyczytawszy pańskie nazwisko, zjawiłam się tutaj bezzwłocznie.

— W jakim wieku jest pan Deane? — zapytał Shelmore.

— W czerwcu skończył sześćdziesiąt trzy — odparła panna Pretty.

— Czy domyśla się pani przyczyny jego nagłego zniknięcia?

— Absolutnie nie! Jakaż mogłaby być przyczyna?

— Ja go nie znam, więc trudno mi powiedzieć. Może przyczyny finansowe?

— Pan Deane jest bogatym. Zresztą obydwoje jesteśmy bogaci.

— A. jakieś powody natury osobistej? Czy pan Deane jest żonaty?

— Nie. Wdowiec. Żona jego umarła, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką.

— Czy ma dzieci?

— Jest zupełnie sam. Mówił nawet kiedyś, że został sam jeden na świecie.

— Jaki to typ człowieka? Nerwowy?

— Mogę powiedzieć, że nigdy jeszcze nie widziałam go w złym humorze. Zazwyczaj bywa bardzo pogodny, a nawet wesoły.

— Więc nie domyśla się pani żadnych przyczyn, które miałyby jakiś związek z jego zniknięciem?

— Nie widzę żadnych. Ogromnie się cieszył z tej podróży! W ostatnim liście, który mam tutaj w torebce, przyrzeka mi, że będzie czekał na mnie w hotelu Chancellor dzisiaj, o czwartej popołudniu Zazwyczaj jest bardzo słowny i dlatego lękam się, że mu się coś musiało stać.

Shelmore sięgnął po kapelusz.

— Pójdę z panią do hotelu, panno Pretty — rzekł. — Znam właściciela, pana Bellinga. Chciałbym zaraz z nim pomówić.

— Przed pół godziną nie było go — zauważyła panna Pretty. — Wątpię, czy wie coś więcej ponadto, że Pan Deane zniknął nagle, w poniedziałek w nocy.

— Może pan Deane zostawił jakąś wiadomość, o której urzędniczka hotelowa nic nie

wie — odezwał się Shelmore. — O, właśnie Belling idzie ulicą, możemy więc natychmiast z nim pomówić.

Przeprowadził młodą swą klijentkę przez ulicę i obszerny dziedziniec hotelowy i skierował się wraz z nią do prywatnego mieszkania właściciela hotelu. Pan Belling skłonił się pannie Pretty grzecznie i uścisnął przyjaźnie dłoń Shelmore'a.

— Przed chwilą dowiedziałem się o przyjeździe panny Pretty i o tem, że zapytywała o pana Deane, — rzekł, podsuwając gościom głębokie fotele. — Widzę, że pani nie traciła czasu i zdążyła już znaleźć poradę fachową. Miejmy jednak nadzieję, że to będzie zupełnie niepotrzebne. Mogę tylko państwa zapewnić, że jest dla mnie tajemnicą, co się z panem Deane stało.

— Niech pan nam opowie wszystko dokładnie — rzekł Shelmore. Panna Pretty jest niespokojna o swego opiekuna i twierdzi, że mu się musiało stać coś złego.

— Pan Deane sprawił na mnie wrażenie człowieka, posiadającego wielki zasób sił żywotnych, — odparł właściciel hotelu, zajmując miejsce naprzeciw swoich gości. — Powiem państwu wszystko, co sam wiem. Pan Deane przyjechał tutaj z Londynu w poniedziałek popołudniu, mniej więcej koło godziny czwartej. Wynajął dla siebie pokój numer 7-my. Numer 11-ty zamówił dla wychowanicy swej, panny Pretty, która miała tutaj przybyć w środę. Panna Pretty przyjechała i pokój zastała przygotowany. Ale gdzie jest jej opiekun? Rzeczy pana Deane'a zniesione zostały do pokoju numer 7. Pan Deane udał się tam również i kazał sobie przynieść herbatę. O siódmej zeszedł na obiad, poczem wstąpił do mnie, do kancelarji i wśród rozmowy zapytał, gdzie możnaby było spędzić w naszem mieście wieczór. Poinformowałem go, że otworzono właśnie niedawno nowy lokal rozrywkowy i że warto go było obejrzeć. Usłuchał mojej rady i wrócił stamtąd koło dziesiątej. Po powrocie prosił, abym się z nim czegoś napił. Gawędziliśmy z godzinkę tutaj, w tym pokoju, a pan Deane siedział przez cały czas w tym fotelu, w którym teraz siedzi pan Shelmore. Mówiliśmy o różnych rzeczach, a gość mój w pewnej chwili zwierzył mi się, że w nowym lokalu widział piękną kobietę, która musi być jakąś znaną osobistością w mieście. Domyśliłem się, że mówił o pani Champernowne, która jest burmistrzem Southernstowe. Pan Deane ogromnie się tem zainteresował, twierdząc, że słyszał już niejednokrotnie, że kobity są burmistrzami lecz nie wyobraża sobie kobiety-burmistrza przy urzędowaniu. Zaznaczyłem mu, że pani Champernowne jest kobietą niezwykle rozumną, właścicielką jednego z największych interesów w mieście i że już od dwóch lat sprawuje swój wysoki urząd. Rozmawialiśmy przez chwilę o udziale kobiet w życiu społecznem. Dopiero o godzinie jedenastej pan Deane pożegnał się ze mną i udał się na górę do swego pokoju. Wówczas to widziałem go po raz ostatni i więcej nic nie mogę o nim powiedzieć.

— A służba pańska? — spytał Shelmore?

— Widziała go potem tylko pokojówka — odparł Belling.

— W jakich okolicznościach?

— W kwadrans po pożegnaniu się ze mną pan Deane zadzwonił, prosząc o szklankę gorącego mleka. Pokojówka natychmiast mleko zaniosła i zastała pana Deane w szlafroku. Siedział w fotelu, czytając jakąś książkę. Prosił pokojówkę, aby nazajutrz o siódmej rano przyniosła mu herbatę i kruche ciasteczka. Pokojówka wyszła natychmiast z pokoju, a gdy zamykała drzwi, dostrzegła, że pan Deane pochylił się znów nad książką, popijając gorące mleko.

— Było to w poniedziałek późnym wieczorem — zauważył Shelmore. — A co się stało nazajutrz o siódmej rano?

— We wtorek o siódmej rano pokojówka zaniosła herbatę i ciasteczka. — mówił dalej Belling. — Na pukanie jej do drzwi nikt nie odpowiedział, więc dziewczyna weszła wreszcie do pokoju. Pokój był pusty. Pokojówce przyszło na myśl, że pan Deane jest w łazience, postawiła więc herbatę na stole i wyszła. Gdy po dziesięciu minutach wróciła z dzbankiem gorącej wody, w pokoju jeszcze nikogo nie zastała.

— Czy we wtorek rano pokojówka zastała pościel na łóżku zgniecioną? — azpytał Chelmore.

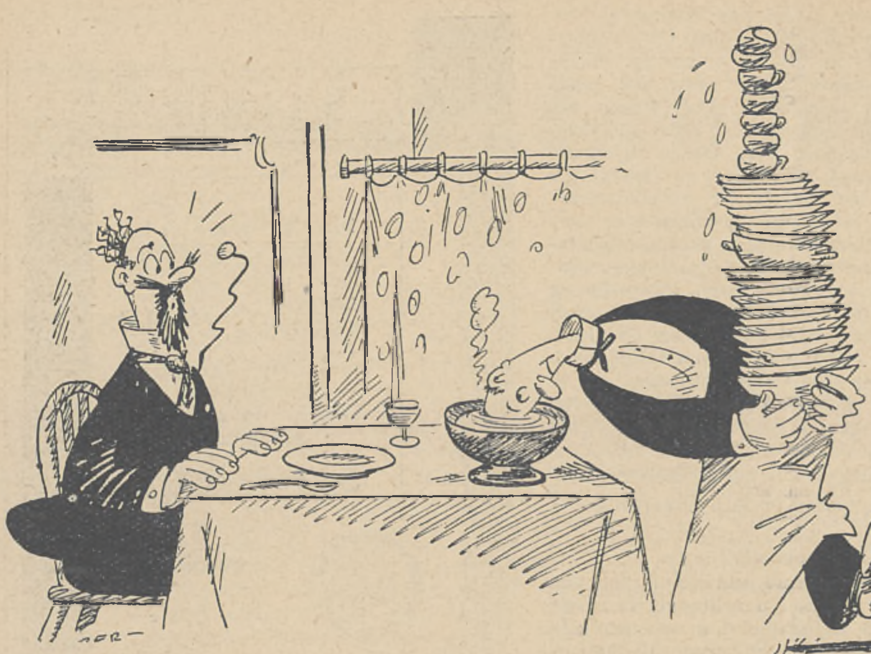
— O tak! Pytałem ją o to. Znać było że pan Deane kładł się jednak do łóżka. Zresztą i ja poszedłem potem na górę i zauważyłem to samo.

Shelmore spojrzał na pannę Pretty, która całej rozmowy wysłuchała w milczeniu i teraz dopiero zdobyła się na zapytanie:

(d. c. n.)



Dole i niedole



— *Jakie szczęście, że tu zawsze podają zupę zimną!...*
(Rire)



Jakie wrażenie wywiera człowiek, który oświadcza publicznie, iż doskonale mu się powodzi.
(Punch)



— *Że się też panu udało uniknąć grypy!...*
— *Bo to choroba tylko dla takich, co siedzą na pensji miesięcznej.*
(El Sol)

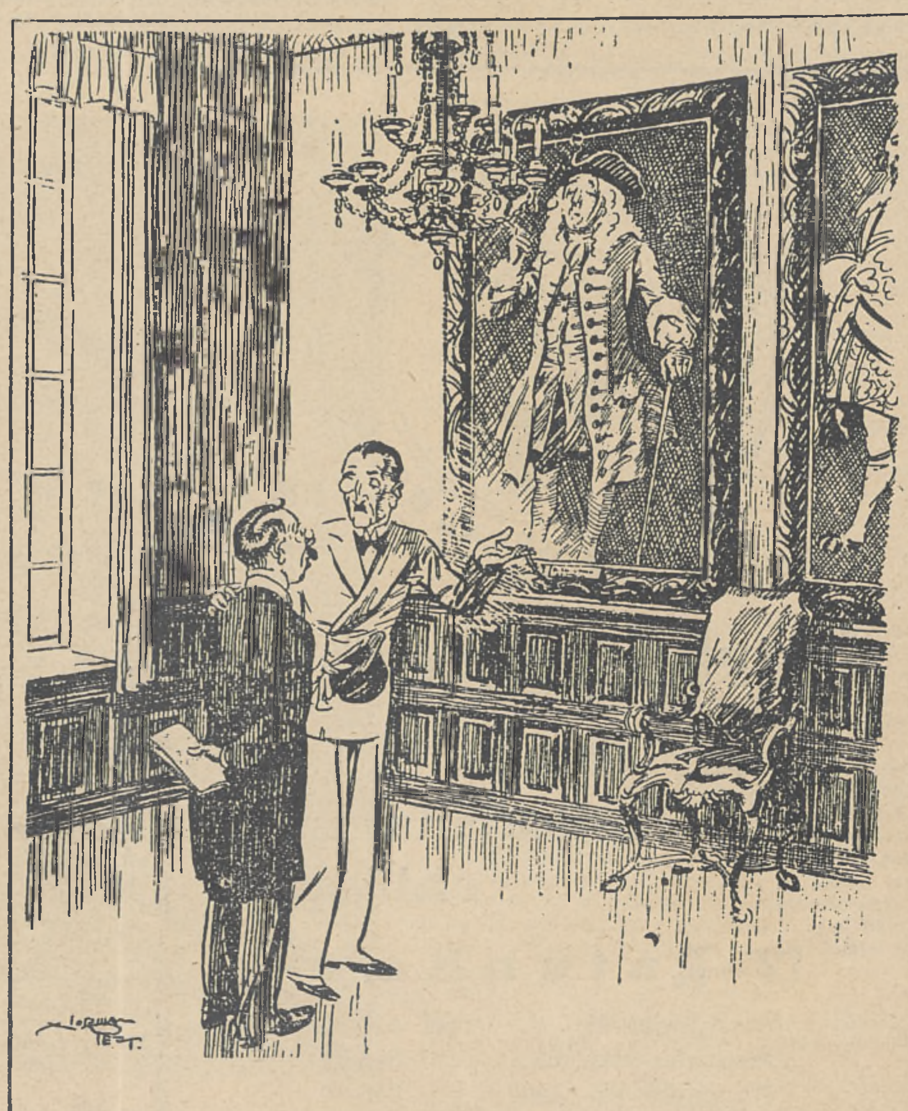
Do pewnego biura, podobnego zresztą do innych, w których procownicy brzęczą paroma groszami w kieszeni pomiędzy 1-m a 5-m każdego miesiąca, a resztę czasu poświęcają ponurym medytacjom, — zjawia się agent z kolektury loteryjnej i proponuje nabycie losu. Zachwala szczęście, sprzyjające wszystkim graczom, którzy u niego nabywają losy, barwnie opisuje, jak wybrańcy Fortuny rozporządzają wygraną — mówi dużo, pięknie, przekonywująco — aż wreszcie kończy argumentem:
— *Musicie, panowie, natychmiast powziąć decyzję. ani chwili niema do stracenia, gdyż jutro już ciągnienie...*
A na to jeden z urzędników:
— *Zdolny z pana człowiek i może byłbym się dał namówić. Nic z tego jednak — bo jeśli już jutro ciągnienie, to nie warto grać. Myślałem przynajmniej, iż będę żył nadzieją choć przez kilka dni...*

✵

W Moskwie, na ulicy, mały chłopiec ciągnie za połę przechodnia:
— *Hej, towarzyszu — powiada — dajcie mi wasze palto, bo wy jesteście dorośli i łatwiej wam ukraść inne!...*

✵

Po lekcji religji mały Misio zwierza się przed mamusią, iż nie rozumie, dlaczego dziesięcioro przykazań odnosi się do mężczyzn, a tylko dziewięć do kobiet.
— *Co też ci przyszło do głowy?..., — dziwi się mama.*
— *No, bo jak to rozumieć — „nie pożądaj żony bliźniego twego?"... Toć przecież wyraźnie tylko dla mężczyzn...*



Szlachetny lord do swego krawca: — Widzi pan te stroje, które nosili moi przodkowie? A przecież i za nie jeszcze nie zapłacono rachunków...
(Passing Show)

Wśród książek



Józef Relidzyński.

Józef Relidzyński: Maska z pałacu królewskiego. — Warszawa, 1931.

Przemiły autor pięknych, natchnionych poezyj i żołnierskich pieśni, fascynujących nowel oraz popularnych scenarjuszów filmowych, dość długo wypoczywał przed wydaniem najnowszej swej książki p. t. „Maska z pałacu królewskiego". Bo niktby nie uwierzył, iż oto już wkrótce Józef Relidzyński obchodzić będzie 25-lecie swej twórczości literackiej. Czas leci...

W obecnym zbiorze nowel autor pozostał wiernym swej tradycji, pragnąc dać czytelnikowi lekturę, która trzymałaby go w napięciu od początku do końca. Akcja rozwija się wartko, *pointa* doskonale utrafiona, styl doskonały — czego więcej potrzeba, zwłaszcza, jeśli wszystkie cztery nowele okraszone są wiecznie nęcącym urokiem miłości.

Nowele Józefa Relidzyńskiego stanowią pierwszorzędną lekturę, której mogłaby nam pozazdrościć obca literatura.

Przypuszczać również należy, że na tle tych opowieści rozwinie się z jeden, dwa polskie filmy, zwłaszcza, że treść ich i forma są najzupełniej do tego celu odpowiednie.

Joseph Conrad-Korzeniowski: Zwycięstwo, powieść w 2-ch tomach, wydanie drugie. Wyd. „Dom Książki Polskiej", Warszawa, 1931.

Dobrze się stało, iż „Zwycięstwo" doczekało się drugiego wydania. Objaw ten, zwłaszcza w okresie szczególnego zastoju w księgarstwie, świadczy o tem, iż dobre rzeczy zawsze będą cieszyć się powodzeniem. Bo „Zwycięstwo" można bezsprzecznie wyróżnić jako jeden z najlepszych utworów genjalnego pisarza. Sytuacje i typy tej powieści są najzupełniej oryginalne. Świetną plastyką uwydatniają się rzadkie indywidualności, których sprężyny duchowe przedstawione są przedziwnie. Kartka za kartką — scena za sceną następuje z żelazną konsekwencją, do czynów pcha mus, w oczach naszych napina się łuk grozy dramatycznej. Sensacyjna, emocjonująca, dochodząca do nastrojów makabrycznych, rozsnuta na egzotycznem tle dalekich, podzwrotnikowych okolic, fabuła „Zwycięstwa" fascynuje, przykuwa uczucia i myśli czytelnika.

Z każdego wiersza „Zwycięstwa" bije surowy impet dramatyczny. A między wierszami snuje się ciągle głęboka refleksja. Ta znakomita powieść kojarzy się niemal z rzeźbą, której zdecydowane płaszczyzny i kontury utworu porywają każdego. Treść i forma utworu są nieomylnie wykute w szlachetnym, surowym materjale.

Specjalnem rozporządzeniem Min. W. R. i O. P. „Zwycięstwo" polecone zostało dla bibljotek szkolnych. Na powszechną popularność „Zwycięstwa" niewątpliwie wpłynie przeróbka tekstu powieści na uwtór sceniczny (grany już we Lwowie), oraz na film dźwiękowy z tekstem polskim.

*

Bibljoteka publiczna w New Yorku *(Public Library)* jest nietylko jedną z największych na świecie — 40 miljony tomów, ale również najlepiej urządzoną. Otwarta codziennie — do późnego wieczora, jest uczęszczana przez tysiące ludzi z najróżnorodniejszych sfer. Uczeni, studenci, artyści malarze, siedzą tuż obok ludzi z tłumu, żądnych wiedzy. Można spotkać nawet ociemniałych, którzy korzystają z działu specjalnego, w wydaniu syst. Braille'a. Dzieci również znajdują w bibljotece nader obficie zaopatrzony wybór książek w różnych językach. Zasługują tu ponadto na szczególną uwagę lotne oddziały bibljoteki, stale pozostające w kontakcie ze swoją centralą. Wolę użyć dla nich nazwy lotnych, albowiem cała sztuka polega na tem, iż na każde żądanie centrala wypożycza im brakujących książek, które dowożą bezustannie kursujące pomiędzy 42-ma oddziałami a centralą — samochody. Sortyment każdego z oddziałów dostosowany jest do danej dzielnicy, a więc żydowskich książek dla dzielnicy żydowskiej, chińskich dla dzielnicy Chattam Square, dzieł murzyńskiej literatury — dla Harlemu. Żaden z czytelników nie spisuje notatek, gdyż i ta praca jest ułatwiona dzięki fotografji, której specjaliści funkcjonują na miejscu, dokonywując zdjęć z poszczególnych kart książek na żądanie.

*

Stary literat zapytywał pewnego razu słynnego humorystę francuskiego, Tristan Bernarda, jak też sobie radzi, żeby się nie powtarzać.

— ...Staram się, jak tylko mogę — i nic...

— To bardzo proste — oświadcza Bernard. — Biorę pierwszą lepszą powieść i oddaję do tłumaczenia — powiedzmy na chiński, następnie zaś robię odwrotnie — z chińskiego tłumaczą mnie na francuski. Zmienia się w ten sposób styl, treść, nazwiska bohaterów—wszystko. I w ten sposób powstaje nowa rzecz...

A widząc, że rozmówca niezbyt dobrze rozumie, o co chodzi — Bernard dodaje:

— Mam jeszcze inny sposób, który lepiej może będzie panu odpowiadać — niech pan wciąż pisze jak dotychczas. Bo wie pan, powiem szczerze, że to, czego jeszcze nie znamy, zawsze jest nowe...





Ostatni walc.

„SZOPKA POLITYCZNA“

Jak co roku, tak i tym razem, najdowcipniejsi wesołkowie i satyrycy: Juljan Tuwim, Jan Lechoń i Marjan Hemar uraczyli nas szopką polityczną przy współudziale niemniej zdolnych humorystów Paczkowskiego i Gałczyńskiego. Znakomite kukiełki pysznie udały się J. Zarubie. Całość wypadła niezmiernie udatnie, to też przyjmowano ją bardzo gorąco na premjerze, specjalnie interesującej—wszyscy niemal figurujący w „Szopce" byli bowiem obecni, można więc było czynić porównania z oryginałami na miejscu. Śmiechu było co niemiara i to serdecznego, bo ktoby miał żal za karykaturę byłby karykaturą doprawdy.

Liń.



Ks. Godlewski. Trąmpczyński. P. P. S.

Premjer Sławek

śpiewa na melodję: „Santa Madonna poratuj".

Santa Madera, poratuj!
Wkrótce do Warszawy wraca wielki Mąż.
Spraw, by naszych pism nie czytał
I rządowych w sejmie mów!
Żeby o nic mnie nie pytał,
Żeby nie wyjeżdżał znów.
Santa Madera, poratuj,
Żeby mi nie szepnął paru czułych słów!

Płk. Wieniawa-Długoszowski

śpiewa na melodję: „Grzmią pod Stoczkiem armaty".

Grzmią pod Steckim armaty,
Słychać głośne wiwaty,
A ja wjeżdżam na salę
Z generałem Lassalem.
Żeby ogień mój nie gasł
W stajni pułku rży Pegaz
Bardzo dobrze nam razem,
Mnie z Pegazem pod gazem.
W pułku sterczeć — czarna dola,
Ja jej znosić nie będę,
Siądę sobie na swego konisia
Na Maderę pojadę.



Wieniawa, Sławek, Michalski



Świtalski, ks. Żongołłowicz, Niedziałkowski

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200. ½ strony zł. 600. mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.

Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.